Król Dawid

MAREK MIGAŁA

PASTERZ

Tom I



✦ ✦ ✦

Od pasterza do banity

Copyright © 2026 Marek Migała
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Projekt okładki, ilustracje i redakcja: Marek Migała
ISBN 978-83-981520-9-9
Wydanie I
Cykl „Król Dawid” w trzech tomach:
Tom I — Pasterz
Tom II — Purpura i Popiół
Tom III — Korona z Cierni

Spis treści

Mapa wydarzeń 5

Do Czytelnika 7

PROLOG — Miecz Samuela 11

CZĘŚĆ PIERWSZA · Betlejem 28

ROZDZIAŁ I — Najmłodszy 29

ROZDZIAŁ II — Lew 48

ROZDZIAŁ III — Niedźwiedzica 67

ROZDZIAŁ IV — Pieśń o rudym 82

ROZDZIAŁ V — Olej 105

ROZDZIAŁ VI — Zły duch 125

CZĘŚĆ DRUGA · Dolina Ela 144

ROZDZIAŁ VII — Pięć miast 145

ROZDZIAŁ VIII — Czterdzieści dni 161

ROZDZIAŁ IX — Chleby dla braci 182

ROZDZIAŁ X — Bitwa należy do Pana 208

ROZDZIAŁ XI — Czyim jest synem? 231

CZĘŚĆ TRZECIA · Dwór Saula 255

ROZDZIAŁ XII — Tysiące i dziesiątki tysięcy 256

ROZDZIAŁ XIII — Dwieście napletków 281
ROZDZIAŁ XIV — Jonatan 312
ROZDZIAŁ XV — Trzy strzały 338

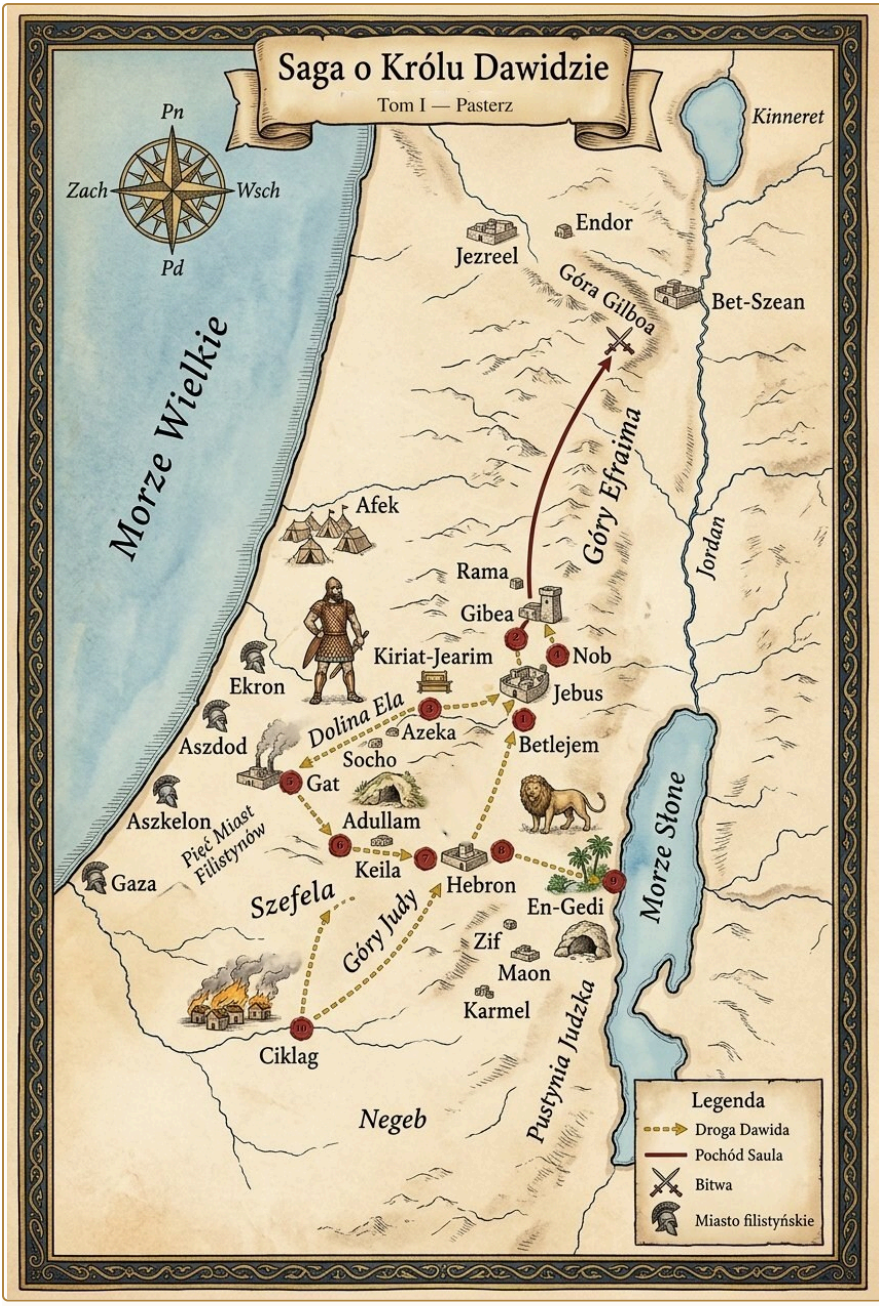
CZĘŚĆ CZWARTA · BANITA 365
ROZDZIAŁ XVI — Chleb z ołtarza 366
ROZDZIAŁ XVII — Jaskinia Adullam 390
ROZDZIAŁ XVIII — Kapłani z Nob 424
ROZDZIAŁ XIX — Keila i Zif 444
ROZDZIAŁ XX — En-Gedi 469
ROZDZIAŁ XXI — Abihail 492
ROZDZIAŁ XXII — Włócznia i dzban 518

CZĘŚĆ PIĄTA · CIKLAG I GILBOA 539
ROZDZIAŁ XXIII — Najemnik Akisza 540
ROZDZIAŁ XXIV — Pod Afek 568
ROZDZIAŁ XXV — Noc w Endorze 587
ROZDZIAŁ XXVI — Popioły Ciklag 608
ROZDZIAŁ XXVII — Gilboa 631
EPILOG TOMU I — Jakże padli bohaterowie 652
Zapowiedź Tomu II 673
Od autora 678
Kalendarium 693
Spis postaci 698

Mapa wydarzeń

Droga Dawida i ostatni pochód Saula

1. **Betlejem** — dom Jessego, lew, niedźwiedzica, namaszczenie
2. **Gibea** — dwór Saula, harfa
3. **Dolina Ela** — Goliat
4. **Nob** — chleby pokładne i miecz Goliata
5. **Gat** — u Akisza
6. **Adullam i Keila** — jaskinia i ocalone miasto
7. **Pustynia Zif** — pościg Saula
8. **Pustynia Maon** — Skała Rozdzielenia
9. **En-Gedi** — rąbek płaszcza
10. **Ciklag** — najemnik Filistynów


Saga o Królu Dawidzie
Tom I — Pasterz
Pn
Zach
Wsch
Pd
Morze Wielkie
Kinneret
Endor
Jezreel
Góra Gilboa
Bet-Szean
Góry Efraima
Jordan
Afek
Rama
Gibea
Nob
Kiriat-Jearim
Jebus
Ekron
Dolina Ela
Azeka
Betlejem
Aszdod
Socho
Gat
Aszkelon
Pięć Miast Filistynów
Adullam
Keila
Hebron
En-Gedi
Morze Słone
Gaza
Szefela
Góry Judy
Zif
Maon
Karmel
Ciklag
Negeb
Pustynia Judzka
Legenda
Droga Dawida
Pochód Saula
Bitwa
Miasto filistyńskie

Do Czytelnika

Biblia nie jest bajką.

Historia Dawida też nie. Znamy ją z dzieciństwa jako opowiastkę o chłopcu z procą, który pokonał olbrzyma, ale w Księgach Samuela jest czymś zupełnie innym. To zapis człowieka, którego namaszczono na króla, gdy jeszcze pasł owce, a potem przez lata ścigano po pustyni jak zwierzynę. Ukrywał się w jaskiniach i kłamał, żeby przeżyć. Dwa razy miał swojego prześladowcę w ręku i dwa razy go oszczędził. Walczył po stronie wrogów własnego ludu. Na koniec płakał nad człowiekiem, który chciał go zabić.

Cykl *Król Dawid* jest osadzony w tej właśnie historii.

Nie w jej legendzie, tylko w jej kościach. W dolinie Ela, gdzie dwa wojska naprawdę stały naprzeciw siebie przez czterdzieści dni. W kuźniach Gat, gdzie żelazny miecz był skarbem. W jaskiniach En-Gedi i na zboczach Gilboa, gdzie krew rzeczywiście płynęła i gdzie prawdziwi ludzie z prawdziwymi imionami podejmowali decyzje, których skutki czujemy do dziś. Historia Dawida jest bowiem jednym z fundamentów cywilizacji Zachodu i wielu innych kultur. Psalmy, które mu przypisano, śpiewa się od blisko trzech tysięcy lat w setkach języków. Jerozolima, którą uczynił stolicą, do dziś jest sercem trzech religii. Sześcioramienna gwiazda nazwana jego imieniem stała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli żydowskiej tożsamości, choć z samym królem łączy ją dopiero późniejsza tradycja. O słabym, który staje przeciw silnemu, w wielu językach mówi się po prostu: Dawid i Goliat. A obietnica dana jego rodowi, „Syn Dawida", przeszła przez proroków aż do Ewangelii.

Król Dawid to moja próba opowiedzenia tej historii od nowa. Nie zamiast Biblii, tylko obok niej. Jako heroic fantasy osadzone w realiach wczesnej epoki żelaza, z postaciami, które mają własne głosy, własne lęki i własne powody, żeby zejść do doliny Ela, nawet gdy po drugiej stronie stoi olbrzym.

Tom I, *Pasterz*, to początek.

Poznasz Dawida, najmłodszego syna Jessego, rudego pasterza, którego własny ojciec nie zawołał na ucztę z prorokiem. Na jego głowę spłynął olej, choć nikt, nawet on sam, nie wiedział jeszcze, co to znaczy. Poznasz Saula, pierwszego króla Izraela, wysokiego i odrzuconego, którego dręczy coś szepczącego w kącie. Poznasz Jonatana, królewskiego syna, który oddał przyjacielowi miecz, łuk i płaszcz, a wziął w zamian pastuszą procę. Poznasz tych, którzy pójdą za Dawidem do jaskini Adullam: dłużników, zgorzkniałych i wygnanych; siostrzeńców, z których jeden zabija bez wahania, a drugi biega szybciej niż gazela; mocarzy, z których jeden śmieje się w bitwie, a drugi nigdy nie mruga; wreszcie kapłana, który jako jedyny przeżył rzeź.

Cykl będzie liczył trzy tomy. Tyle trzeba, żeby opowiedzieć drogę od pastwiska przy grobie Racheli do tronu w Jerozolimie, a potem dalej, tam, gdzie korona zaczyna ważyć więcej niż miecz.

Ten jest pierwszy.

Marek Migała

Dramatis Personae

Betlejem

Dawid	najmłodszy syn Jessego, rudy pasterz
Jesse i Nicewet	jego ojciec i matka
Eliab, Szamma	starsi bracia Dawida
Joab, Abiszaj, Asahel	synowie Serui, siostrzeńcy Dawida

Gibea

Saul	pierwszy król Izraela
Jonatan	jego pierworodny
Mikal	córka Saula
Abner	wódz wojsk Saula
Doeg Edomita	naczelny pasterz Saula

Prorok i kapłan

Samuel	prorok, który namaścił Saula, a potem Dawida
Abiatar	kapłan z Nob

Filistyni

Akisz	król Gat

Goliat i Lachmi	olbrzymi z Gat
Ikausu	syn Akisza

Pełny spis postaci znajduje się na końcu książki.



PROLOG — Miecz Samuela

1 Sm 15

Wiatr z Negebu niósł piasek, zapach wielbłądziego łajna i dymu z cudzych ognisk. Na skraju równiny, gdzie pustynia przestawała udawać ziemię, a zaczynała być tylko kamieniem, stało wojsko Izraela.

Nie wyglądało jak wojsko z pieśni. Wyglądało jak ludzie, którzy zostawili pola w połowie żniw. Pasterze z Judy z procami owiniętymi wokół nadgarstków. Beniaminici z łukami z jesionu i rogu, cięciwami schowanymi pod tuniką przed kurzem. Rolnicy z Efraima z oszczepami, w których groty z brązu osadzono niewiele staranniej niż motyki. Ktoś miał topór. Ktoś inny tylko kij okuty miedzią i dużo złości. Mieczy było tyle, że dało się je policzyć na palcach dwóch rąk, i każdy wiedział, czyje są.

Jeden z nich wisiał u pasa człowieka, który przewyższał wszystkich o głowę.

Saul, syn Kisza, stał na niskim pagórku i patrzył na południe. Był wysoki jak cedr i tak samo nieruchomy. Wiatr szarpał jego płaszcz, ale on sam nie drgnął. Za nim, krok w tył, czekał Abner, jego stryjeczny brat i wódz, chudy, siwiejący, z twarzą jak rzemień wyschnięty na słońcu.

— Ilu? — zapytał król, nie odwracając się.

— Pisarze z Telaim liczyli do świtu — powiedział Abner. — Dwieście tysięcy pieszych z pokoleń. Dziesięć tysięcy z Judy.

— Pisarze liczą głowy. Pytam, ilu będzie się bić.

Abner wzruszył ramionami.

— Wszyscy, dopóki będzie łup. Połowa, kiedy przestanie go być widać.

Saul uśmiechnął się kątem ust. Był to uśmiech człowieka, który dawno temu przestał się dziwić ludziom.

Na zboczu pojawił się trzeci. Młodszy, smukły, z łukiem przewieszonym przez plecy i skórzanym kołczanem pełnym strzał o czarnych lotkach. Jonatan zbiegał po kamieniach lekko, jakby pustynia była mu winna przejście.

— Ojcze. Zwiadowcy wrócili. Miasto Amaleka leży za trzecim wadi. Namioty, zagrody, studnie. Wielbłądów więcej niż gwiazd.

— A Kenici?

Jonatan zawahał się.

— Rozbili się na skraju, od wschodu. Ich namioty są czarne jak amaleckie. Z daleka nie odróżnisz.

— Z bliska też nie — mruknął Abner. — W nocy, z mieczem w ręku, nikt nie będzie pytał o ojca.

Saul tarł kciukiem rękojeść miecza, aż zbielał mu paznokieć. Potem odwrócił się i po raz pierwszy tego ranka spojrzał na nich obu.

— Kenici to synowie Jetry. Teścia Mojżesza. Kiedy nasi ojcowie wychodzili z Egiptu, ten lud dał im wodę i przewodników przez pustynię. A Amalek uderzył od tyłu na słabych i zmęczonych. Na kobiety, na starców, na tych, którzy wlekli się za taborem. Pod Refidim.

— Wiem, ojcze — powiedział Jonatan. — Mojżesz trzymał ręce w górze, a Jozue bił się w dolinie.

— To wiesz także, co powiedział Pan. — Głos Saula zrobił się twardy jak krzemień. — „Wygładzę pamięć Amaleka spod nieba.” Samuel przyniósł mi

to słowo do Gibea. Wszystko. Mężczyzn i kobiety. Dzieci i niemowlęta. Woły i owce. Wielbłądy i osły. Herem. Klątwa. Nic dla nas.

Abner splunął w piasek.

— Ciężkie słowo dla ludzi, którzy przyszli tu po bydło.

— Dlatego Pan dał je królowi, a nie tobie. — Saul skinął na Jonatana. — Weź dwóch ludzi, którzy znają mowę pustyni. Idźcie do Kenitów. Powiedz im: „Odejdźcie, oddzielcie się od Amaleka, żebym was nie wytracił razem z nim. Okazaliście łaskę Izraelowi, kiedy wychodził z Egiptu.” Masz czas do zachodu słońca.

Jonatan skinął głową i odszedł bez słowa. Abner cmoknął za nim z niesmakiem.

— Dobry chłopak — powiedział. — Za dobry na tę robotę.

— Nikt nie jest dobry na tę robotę — odparł Saul. — Dlatego robi ją wojsko.

Abner nie odszedł. Stał obok króla i patrzył na południe, na równinę, nad którą drgało powietrze.

— Powiedz mi prawdę, Saulu — odezwał się po chwili. — Nie słowo Samuela. Swoją. Po co tu jesteśmy?

Saul nie odpowiedział od razu. Schylił się, podniósł z ziemi garść piasku i przesypał go przez palce.

— Widzisz tę równinę? Tędy idzie droga kadzidła do Gazy. Kto trzyma studnie, ten bierze myto od każdego juku. — Otrzepał rękę. — Amalek trzyma studnie od czasów Mojżesza. Filistyni dają mu żelazne groty, a Amalek daje Filistynom wolną drogę i jeńców.

— Jeńców?

— Z Judy. Z wiosek pod Hebronem. Amalek przychodzi po żniwach, bierze zboże, bydło i dzieci. Dzieci idą na targ do Gazy. — Saul spojrzał na Abnera. — Starsi Judy przyszli do mnie do Gibea, zanim przyszedł Samuel.

Powiedzieli, że król Izraela strzeże Beniamina, a Juda niech sama pilnuje swoich dzieci.

Zamilkł na chwilę. — Mieli rację. Jeśli w tym roku nie przyjdę na południe, w przyszłym Juda nie przyjdzie na północ. — Zacisnął pięść. — Filistyni mają pięć miast i jedno serce. My mamy dwanaście pokoleń i dwanaście serc, i każde bije w swoją stronę. Bez Judy nie ma Izraela, Abnerze. Jest Beniamin z łukami. Garść.

— Więc wojna z Amalekiem jest dla Judy.

— Wojna z Amalekiem jest dla Pana. — Saul powiedział to szybko. Za szybko. Potem dodał ciszej: — I dla Judy.

Abner patrzył na niego spod zmrużonych powiek.

— A Juda przyszła tu po bydło — powiedział. — Dziesięć tysięcy ludzi, którzy zostawili jęczmień na polu. Wrócą do Betlejem i do Hebronu z pustymi rękami i powiedzą starszym: król kazał nam zabijać i palić, a do domu nie przynieśliśmy nawet skóry na sandały.

— Nasi ludzie nie mają żelaza — mówił dalej Abner. — Mają proce, kije i trochę brązu. Na drugą wojnę trzeba ich czymś przekupić. Albo nakarmić. Albo jedno i drugie. Łup by ich nakarmił.

— Samuel powiedział: wszystko.

— Samuel nie musi stawać przed starszymi Judy. — Abner splunął w piasek po raz drugi. — Ty musisz.

Stali tak, aż wiatr z Negebu nasypał im piasku do sandałów.

— Zrobię, co każe Pan — powiedział w końcu Saul.

Patrzył na południe, gdzie za trzecim wadi czekało miasto Amaleka, pełne wielbłądów jak niebo gwiazd.

— A potem zobaczymy, co każe wojsko.

Przed zmierzchem czarne namioty od wschodu zaczęły się zwijać. Kenici odchodzili w milczeniu, z kozami, dziećmi i starymi kobietami na osłach, nie

oglądając się za siebie. Jeden z ich starszych zatrzymał się przy straży Izraela, popatrzył na króla na pagórku i dotknął dłonią czoła.

Potem pustynia zamknęła się za nimi, jakby nigdy ich nie było.

✦

Atak przyszedł przed świtem, w godzinie, kiedy nawet psy pustyni śpią.

Asza z pokolenia Judy leżał w łożysku wadi od północy, z twarzą przyciśniętą do chłodnego żwiru. Czterdzieści osiem lat, trzy zęby mniej, blizna od filistyńskiej włóczni pod żebrami. Bił się pod Jabesz i pod Mikmas. Widział ludzi, którzy przed bitwą srali ze strachu, i takich, którzy śpiewali. Ci, którzy śpiewali, ginęli pierwsi.

Obok niego leżał Joel, chłopak z jego wioski. Czternaście lat, proca w garści, oczy jak dwie miski.

— Asza. Ilu ich jest?

— Za dużo, żeby liczyć. Za mało, żeby uciekać. Ładuj kamień.

Ręce chłopaka drżały. Asza położył na nich własną, szorstką jak kora.

— Jak róg zagra, wstajesz, rzucasz, kucasz. Nie patrzysz w twarze. Patrzysz w ręce. Ręka z nożem to wróg. Ręka bez noża to nie twoja sprawa.

— A dzieci?

Asza długo nie odpowiadał.

— Rzucaj — powiedział. — Na resztę przyjdzie czas.

Róg zagrał.

Nie jeden. Sto. Szofary zawyły ze wszystkich stron wadi naraz, jakby krzyczała sama ziemia. Ludzie Judy wstali z łożyska jak umarli z grobów i pierwsza salwa kamieni poszła w obóz z warkotem, jakby nad namiotami przeleciała szarańcza.

Z namiotu wypadł nagi do pasa mężczyzna z twarzą wymalowaną sadzą, z zakrzywionym nożem. Kamień Aszy trafił go w gardło. Usiadł, jakby ktoś go zawołał, i już nie wstał.

Potem z ciemności nadleciały wielbłądy. Dwudziestu, trzydziestu jeźdźców wysoko na garbach, z włóczniami i krótkimi łukami. Pierwsza strzała przebiła Joelowi ramię. Chłopak nie krzyknął. Patrzył na lotkę tak, jakby to była cudza ręka.

Asza powalił go za kamień. Wielbłąd przeleciał nad nimi, jeździec pchnął włócznią w dół. Asza złapał drzewce obiema rękami i ściągnął człowieka z garbu jak worek z mąką. Nie miał noża. Miał kamień w garści. Uderzył raz. Drugi. Trzeci. Za trzecim było cicho.

Wtedy usłyszał głos. Nie głośniejszy od innych. Inny. Przechodził przez bitwę jak nóż przez płótno.

— Beniamin! Łucznicy na krawędź! Wielbłądy w oczy, nie w jeźdźców!

Saul szedł środkiem wadi. Nie biegł. Szedł, wyższy od wszystkich, z hełmem z brązu, który płonął w pierwszym świetle, z jednym z niewielu żelaznych mieczy w Izraelu. Strzały Beniaminitów zaśpiewały i pierwszy wielbłąd runął na kolana, wyrzucając jeźdźca pod nogi ludzi z Efraima.

— Za mną, synowie Izraela!

I Asza zrozumiał, dlaczego ludzie poszli za tym człowiekiem z wiosek i spod żniw. Nie dlatego, że był wielki. Dlatego, że szedł pierwszy.

Słońce wstało nad pustynią czerwone jak rozcięta wątroba.

Wojna, kiedy się skończy, przestaje być walką. Zaczyna być pracą. Ludzie Izraela szli między namiotami i robili to, co Pan nakazał. Nie było w tym chwały. Był pot, były muchy i był dźwięk, którego Asza nie zapomniał do końca życia: kiedy krzyk kobiety urywa się w połowie.

Patrzył na ręce. Ręka z nożem — wróg. Ręka bez noża — nie jego sprawa.

To była najdłuższa godzina w jego życiu.

✦

Do południa od Hawili aż po Szur, aż do granicy Egiptu, nie zostało z miasta Amaleka nic, co by oddychało.

Prawie nic.

Na środku zrównanego z ziemią obozu, na płachcie z białej wełny, siedział mężczyzna w kajdanach. Broda ufarbowana henną na rudo, pierścienie na palcach, których nikt mu jeszcze nie zdążył zerwać. Jego ludzie leżeli wokół niego w kręgu, jak płatki zwiędłego kwiatu. On sam nie miał ani jednego zadrapania.

Agag, król Amaleka, patrzył na Saula jak na równego sobie.

— Królowie zawsze są mniejsi z bliska — powiedział w mowie, która była siostrą hebrajskiej. — Twój Bóg ci tego nie mówił?

Abner podszedł z mieczem.

— Pozwól mi, panie. Słowo było jasne.

— Nie. — Saul nie spuszczał wzroku z jeńca. — Zabić umie każdy. Pokazać go ludowi w łańcuchach, to jest władza.

Za Agagiem, w kurzu i w ryku, płynęła rzeka zwierząt. Owce z ogonami ciężkimi od łoju. Woły z rogami wygiętymi jak księżyc w nowiu. Wszystko, co Amalek przez lata nagrabił od Kadesz po Morze Słone. Przed stadem szedł niski, krępy człowiek z twarzą jak młot, w płaszczu z koziej sierści. Edomita. Doeg.

— Panie, mam oko do bydła — powiedział, skłoniwszy się nisko. — Takiego stada nie widziałem od dziesięciu lat. Szkoda dla Pana, żeby to zgniło na pustyni. Słowo mówiło: dla Pana. Złożymy Mu w Gilgal ofiarę, jakiej

Izrael nie widział od czasów Mojżesza. Czy Bóg chce padliny pod gołym niebem, czy dymu z ołtarza?

Ludzie wokół zaczęli szemrać. Od świtu zabijali w imię Boga. Chcieli coś za to dostać. Cokolwiek.

Asza widział twarz króla z dziesięciu kroków. Nie było na niej chciwości. Było coś gorszego. Zmęczenie człowieka, który wie, że postępuje źle, i wie, że i tak to zrobi.

— Zabijcie to, co marne i słabe — powiedział Saul. — Najlepsze zostawcie. Na ofiarę.

Doeg skłonił się drugi raz, niżej. Kiedy się prostował, na jego twarzy mignął uśmiech, tak szybko, że Asza nie był pewien, czy go widział.

Wieczorem wojsko ruszyło na północ. Za nim szły stada, a w środku stad, na ośle, w złotych łańcuchach, jechał król Amaleka i patrzył na pustynię jak na ogród, do którego jeszcze wróci.

Po drodze, w Karmelu w Judzie, Saul kazał postawić kamień. Wysoki, nieociosany, bez napisu.

— Wystarczy, że stoi — powiedział. — Ludzie będą pytać, kto go postawił.

Asza patrzył na ten kamień przez ramię i myślał, że jego ojciec stawiał kamienie na grobach. Nie na wzgórzach.

✦

W tym samym czasie, trzy dni drogi na północ, starzec nie spał.

Samuel leżał na macie w swoim domu w Rama, z twarzą zwróconą do ściany, i płakał. Robił to bezgłośnie, tak jak płaczą ludzie, którzy nauczyli się tego w dzieciństwie, w świątyni, gdzie każdy dźwięk w nocy mógł obudzić starego kapłana.

Słowo przyszło do niego o zmierzchu. Nie jak głos z gromu. Jak dłoń położona na karku.

„Żałuję, że ustanowiłem Saula królem. Odwrócił się ode mnie. Nie wypełnił moich słów.”

Samuel znał ten ton. Słyszał go pierwszy raz, gdy miał dwanaście lat i leżał przy lampie Bożej w Szilo, a Pan wołał go po imieniu, żeby powiedzieć mu, że dom Helego, starca, który go wychował, zginie. Powiedział wtedy: „Mów, Panie, bo sługa twój słucha.” Rano musiał powtórzyć to Helemu w twarz.

Od tamtej pory minęło ponad sześćdziesiąt lat. Pan wciąż mówił mu rzeczy, których nie chciał usłyszeć.

— Ja go namaściłem — szepnął w ciemność. — Ja. Wylałem olej na jego głowę w Rama. Pocałowałem go. Był taki… taki zawstydzony. Schował się wśród tobołów, kiedy losy padły na niego. Pamiętasz? Pamiętasz, Panie? Chował się między workami jak dziecko.

Ciemność nie odpowiedziała.

— Oni chcieli króla. Ja ich ostrzegałem. Mówiłem: weźmie wasze córki na kucharki, synów na rydwany, najlepsze pola dla swoich sług. Mówiłem. A oni krzyczeli: „Niech będzie król, jak u innych narodów!” I Ty powiedziałeś mi: „Posłuchaj ich. Nie ciebie odrzucili, tylko Mnie.”

Przez okno wpadał zapach nocy, szałwii i oliwek. Gdzieś w dole wiatr szarpał gałęzie tamaryszku.

— I teraz mam iść do niego. — Głos starca się załamał. — Mam iść do człowieka, którego kocham jak syna, i powiedzieć mu, że jest martwy, chociaż jeszcze chodzi.

Nikt mu nie odpowiedział do świtu.

Rano Samuel umył twarz w miednicy, wziął laskę i wyszedł z domu. Słudzy chcieli osiodłać mu osła. Odmówił.

— Pójdę pieszo — powiedział. — Złe wieści nie powinny przychodzić za szybko.

✦

W Gilgal pachniało krwią, łojem i świeżym dymem.

Obóz wojska rozlał się po równinie przy Jordanie, wokół dwunastu kamieni, które Jozue postawił tu, kiedy lud przeszedł rzekę suchą nogą. Przy ołtarzu kapłani już ostrzyli noże. Stada stały w zagrodach z pni i cierni, ryczały i beczały, tysiąc gardeł naraz, aż bolała głowa.

Saul wyszedł staremu prorokowi naprzeciw w pół drogi. Był w czystym płaszczu, umyty, z wonną oliwą we włosach. Za nim szedł Jonatan, za Jonatanem Abner. Wojsko patrzyło.

— Błogosławiony jesteś przez Pana! — zawołał król z daleka, z rozpostartymi ramionami. — Wykonałem słowo Pana!

Samuel zatrzymał się. Był niski, przygarbiony, w burym płaszczu z grubej wełny, który nosił, odkąd ktokolwiek pamiętał. Jego oczy były czerwone od bezsenności. Nie podszedł bliżej. Przechylił tylko głowę, jakby nasłuchiwał.

Za plecami króla zaryczał wół. Zabeczała owca. Tysiąc innych jej odpowiedziało.

— To co to za beczenie owiec w moich uszach? — zapytał Samuel cicho. — I ryk wołów, który słyszę?

Na moment nad Gilgal zapadła taka cisza, jaka zapada tylko przed burzą.

Saul nie przestał się uśmiechać. Ale jego uśmiech zastygł, jak wosk, który zbyt szybko ostygł.

— Przyprowadzili je od Amaleka — powiedział. — Lud oszczędził najlepsze z owiec i wołów, żeby złożyć ofiarę Panu, twemu Bogu. Resztę wytępiliśmy.

— Lud — powtórzył Samuel.

— Lud chciał.

— Twemu Bogu — powtórzył Samuel. — Nie twemu. Mojemu.

Jonatan spuścił głowę. Abner patrzył w bok, na zagrody, jakby nagle bardzo zainteresował go jeden z wołów.

— Przestań — powiedział Samuel. Nie podniósł głosu. Nie musiał. — Przestań. Powiem ci, co mi Pan powiedział tej nocy.

— Mów — odpowiedział król i po raz pierwszy jego głos zabrzmiał jak głos młodego człowieka, a nie króla.

Samuel podszedł do niego. Był od Saula niższy o półtorej głowy. Musiał patrzeć w górę. I mimo to wyglądało to tak, jakby to Saul klęczał.

— Czyż nie byłeś mały we własnych oczach? — zapytał prorok. — Chłopak z najmniejszego pokolenia. Z najmniejszego rodu w tym pokoleniu. Szukałeś zaginionych oślic ojca i trafiłeś do mnie. Pamiętasz? Bałeś się mnie zapytać o drogę.

— Pamiętam.

— A Pan uczynił cię głową pokoleń Izraela. Namaścił cię na króla. I posłał w drogę, i powiedział: „Idź i obłóż klątwą grzesznych Amalekitów. Walcz z nimi, aż ich wytępisz.” — Samuel zrobił krok bliżej. — Dlaczego nie posłuchałeś? Dlaczego rzuciłeś się na łup? Dlaczego zrobiłeś to, co złe w oczach Pana?

Saul cofnął się o krok. Ludzie z wojska to widzieli. Wszyscy.

— Ależ ja posłuchałem! — powiedział król i jego głos stał się wysoki, ostry. — Posłuchałem głosu Pana! Poszedłem drogą, na którą mnie posłał. Przyprowadziłem Agaga, króla Amaleka. Amaleka wytępiłem! A lud — lud wziął z łupu owce i woły, pierwociny z tego, co było pod klątwą, żeby złożyć ofiarę Panu, twemu Bogu, w Gilgal!

Samuel milczał długo. Wiatr od Jordanu szarpał jego siwe włosy.

Kiedy w końcu przemówił, jego głos nie był głosem starca. Był jak grzmot, który przychodzi z bardzo daleka i rośnie, rośnie, aż trzęsie ziemią.

— Czy Pan ma takie upodobanie w całopaleniach i ofiarach jak w posłuszeństwie Jego głosowi? Oto posłuszeństwo lepsze jest od ofiary! Uległość lepsza od tłuszczu baranów! Bo bunt jest jak grzech wróżbiarstwa, a upór jak bałwochwalstwo i bożki domowe!

Podniósł laskę i wskazał nią na króla. Stara, poskręcana laska z drewna migdałowca drżała w jego ręce.

— Ponieważ odrzuciłeś słowo Pana, On odrzucił ciebie. Nie będziesz królem.

✦

Cisza w Gilgal była tak gęsta, że słychać było muchy nad zagrodami.

Saul stał. Przez długą chwilę nie robił nic. Patrzył na starego proroka, a jego twarz wyglądała tak, jakby ktoś zdarł z niej skórę i pod nią nie było nic.

Potem jego kolana ugięły się. Nie upadł. Osunął się powoli, aż dotknął czołem piachu u stóp Samuela.

— Zgrzeszyłem — powiedział w ziemię. — Zgrzeszyłem. Przekroczyłem rozkaz Pana i twoje słowa. Bałem się ludu. Usłuchałem ich głosu.

— Wstań — powiedział Samuel.

— Nie. — Saul chwycił skraj jego płaszcza. — Nie, dopóki mi nie przebaczysz. Wróć ze mną. Wróć, żebym oddał pokłon Panu. Ludzie patrzą, Samuelu. Starszyzna patrzy. Jeśli odejdziesz, oni wszyscy zobaczą…

— Że Pan cię odrzucił — dokończył prorok. — Zobaczą prawdę.

— Proszę cię.

Samuel szarpnął się, żeby odejść. Saul nie puścił.

Rozległ się trzask.

Tkanina pękła wzdłuż szwu, od ramienia do pasa. Brzeg starego, burego płaszcza został w zaciśniętej pięści króla. Strzęp wełny, nic więcej. Saul patrzył na niego, jakby trzymał w dłoni własne serce.

Samuel też na niego popatrzył. I wtedy jego twarz się zmieniła. Nie było w niej już gniewu. Był tylko smutek, tak ogromny, że trudno było na niego patrzeć.

— Tak rozdarł Pan dzisiaj królestwo Izraela od ciebie — powiedział. — I dał je twemu bliźniemu. Lepszemu od ciebie.

— Komu? — Saul podniósł głowę. Jego oczy były dzikie. — Komu? Powiedz mi imię! Powiedz!

— Nie wiem.

— Kłamiesz!

— Chwała Izraela nie kłamie i nie żałuje — odpowiedział Samuel. — Nie jest człowiekiem, żeby żałować. — Zamilkł na chwilę, a potem dodał bardzo cicho, tak że słyszał to tylko król: — Ja jestem człowiekiem. Ja żałuję.

Abner podszedł o krok. Jonatan stał nieruchomo, blady jak kamień.

Saul wstał. Ostrożnie, powoli, jak stary człowiek. Złożył strzęp płaszcza i schował go za pazuchę.

— Zgrzeszyłem — powtórzył, tym razem spokojnie. — Ale teraz uczcij mnie przed starszyzną mego ludu. Przed Izraelem. Wróć ze mną, żebym oddał pokłon Panu, twemu Bogu.

Samuel patrzył na niego jak rolnik na zboże, które zgniło na pniu. Na wysokiego, pięknego mężczyznę, który był kiedyś zawstydzonym chłopcem szukającym oślic. I na tłum za jego plecami, który już szeptał.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Wrócę z tobą.

Nie zrobił tego dla Saula. Zrobił to dla Izraela. Król, którego Bóg odrzucił, był wciąż jedynym królem, jakiego ten lud miał. Rozpad przyszedłby szybciej niż Filistyni.

Złożyli ofiarę razem. Dym z tysiąca owiec wznosił się nad Gilgal przez cały dzień, ciężki, tłusty, czarny. Ludzie jedli mięso i śpiewali. Tylko ci, którzy stali najbliżej ołtarza, widzieli, że stary prorok przez cały czas wpatrywał się w niebo, a niebo było puste.

✦

O zmierzchu Samuel powiedział:

— Przyprowadźcie do mnie Agaga, króla Amaleka.

Przyprowadzili go. Szedł w łańcuchach, ale lekko, prawie tanecznie, jak ktoś, kto idzie na ucztę. Dzień w obozie Izraela zrobił mu dobrze. Nakarmiono go. Dano mu wino. Strażnicy żartowali z nim w jego języku.

Uśmiechał się, kiedy stanął przed starym prorokiem.

— Zaiste — powiedział — minęła gorycz śmierci.

Samuel nie odpowiedział mu od razu. Podszedł do Abnera, który stał z boku z mieczem u pasa, i wyciągnął rękę.

— Daj mi to.

Abner spojrzał na króla. Saul stał przy ołtarzu w czystym płaszczu, z twarzą bez wyrazu. Nie skinął głową. Nie zaprzeczył.

Abner odpiął miecz i podał go prorokowi rękojeścią do przodu.

Był za ciężki dla starca. Samuel musiał trzymać go oburącz. Ostrze wlokło się po ziemi, kiedy szedł. Ludzie z wojska rozstępowali się przed nim w milczeniu.

Agag przestał się uśmiechać.

— Ty jesteś prorokiem — powiedział. — Nie wojownikiem. Prorocy nie zabijają.

— Twój miecz pozbawiał kobiety dzieci — odpowiedział Samuel. — Tak i twoja matka będzie pozbawiona dziecka między kobietami.

— Moi przodkowie… — zaczął Agag.

— Refidim — powiedział Samuel. Podniósł miecz. Ręce mu drżały, nie ze strachu, tylko ze starości. — Ty nie pamiętasz, Agagu. Ja pamiętam. Pan pamięta.

Agag szarpnął łańcuchami. Strażnicy przytrzymali go za ramiona.

— Saul! — krzyknął do króla. — Saul, to ty mnie oszczędziłeś! Jesteś królem! Jestem twoim jeńcem! Twoim!

Saul nie poruszył się.

Samuel opuścił miecz.

Nie było w tym nic z pieśni. Nie było jednego czystego cięcia. Starzec uderzył raz i źle, i drugi raz, i trzeci, a za każdym razem robił to coraz wolniej, z coraz cięższym oddechem, jakby rąbał drzewo, a nie człowieka. Krew bryzgała mu na stary bury płaszcz. Na brodę. Na twarz.

Kiedy skończył, oddał miecz Abnerowi i otarł ręce o płaszcz.

— Przed Panem w Gilgal — powiedział w ciszy. — Niech to będzie zapisane.

Potem odwrócił się, wziął laskę z rąk sługi i poszedł w stronę Rama. Sam. Pieszo. W rozdartym płaszczu, którego poła zwisała mu z ramienia.

Saul patrzył za nim, dopóki nie zniknął w ciemności.

— Ojcze — powiedział Jonatan. — Ojcze, co teraz?

Król nie odpowiedział. Wyjął zza pazuchy strzęp burej wełny i obracał go w palcach, wolno, w kółko.

Samuel nigdy więcej nie poszedł do Saula.

Ale płakał nad nim przez wiele lat.

✦

Na południe od Jerozolimy, która była jeszcze miastem Jebusytów, na grzbiecie wzgórza, gdzie zaczynała się pustynia, leżała wioska tak mała, że łatwo ją było przeoczyć. Nazywała się Betlejem. Dom chleba.

Tej samej nocy, kiedy Samuel szedł do Rama, a jego płaszcz sztywniał od krwi Agaga, na zboczu poniżej Betlejem płonęło małe ognisko.

Siedział przy nim chłopiec. Szesnaście, może siedemnaście lat. Rude włosy, piegi, za duża tunika po którymś ze starszych braci. Przed nim, w kamiennej zagrodzie, spało stado. Kilkadziesiąt owiec i kóz. Niewiele. Dość, żeby ojciec mógł o nim zapomnieć na całe tygodnie.

Chłopiec nie spał. Trzymał na kolanach coś, co wyglądało jak kawałek drewna z naciągniętymi jelitami owcy. Lira. Zrobił ją sam, z gałęzi, z rogu, z jelit jagnięcia, które zdechło na wiosnę. Brzmiała tak, jak brzmi rzecz zrobiona przez dziecko. Krzywo. Ale prawdziwie.

Szarpnął strunę. Potem drugą. Potem zaczął nucić, cicho, żeby nie zbudzić owiec. Słowa przychodziły do niego same. Nie wiedział, skąd. Nigdy nie wiedział.

Gdzieś w ciemności, na skałach, coś się poruszyło.

Chłopiec przestał grać. Odłożył lirę. Z nadgarstka odwinął procę, skórzaną kieszonkę na dwóch długich rzemieniach, i z woreczka u boku wyjął kamień, gładki, okrągły, wielkości kurzego jaja. Wypatrzył go w potoku przed tygodniem, przez cały dzień nosił go w ręce, żeby poczuć jego ciężar.

W ciemności błysnęły dwa ślepia. Zielone. Nisko nad ziemią.

Owce zbudziły się i zaczęły beczeć.

Chłopiec wstał. Nie było nikogo, kto by mu pomógł. Bracia byli w domu, przy ojcu, przy stole. On był tu, bo był najmłodszy, a najmłodszy zawsze pilnuje owiec.

Zakręcił procą nad głową. Raz. Drugi. Rzemienie zaświstały w powietrzu jak wąż.

— Chodź — powiedział cicho w ciemność. — Chodź, jeśli masz odwagę.

Gdzieś daleko na północy stary prorok szedł przez noc, płacząc nad królem, którego Bóg odrzucił.

Nie wiedział jeszcze, dokąd go to zaprowadzi.

Ani komu.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Betlejem

✦ ✦ ✦



ROZDZIAŁ I — NAJMŁODSZY

1 Sm 16,11

Wilk nie przyszedł sam.

Chłopiec zrozumiał to, kiedy pierwszy wyszedł z mroku i usiadł na krawędzi światła. Szary, chudy, z zębami żółtymi w blasku ogniska. Nie patrzył na owce. Patrzył na chłopca. A za plecami, w wąwozie, coś zachrzęściło na żwirze.

Ten pierwszy miał go zatrzymać. Robotę miały zrobić te z tyłu.

Kamień wypuszczony w ciemność to kamień stracony, mówił stary Hur, który pasł owce jeszcze za życia Boaza. Chłopiec i tak obrócił się na pięcie i wypuścił. Rzemień trzasnął jak bat. W wąwozie coś zaskomlało i żwir posypał się w dół.

Wtedy skoczył ten pierwszy.

Prosto do zagrody, między owce. Rozpętało się piekło. Beczenie, kopyta, kozioł z rozdartym uchem, który zaatakował rogami i zatoczył się z krwawiącym karkiem. Chłopiec przeskoczył mur z pałką w dłoni. Krótką, dębową, nabitą krzemieniem. Uderzył w kark, za uszami, tam, gdzie Hur mówił, że trzeba.

Zęby zamknęły się na jego przedramieniu.

Ból był biały. Nie czerwony, jak zawsze myślał. Biały, jak błyskawica.

Lewą ręką chwycił wilka za skórę na karku i z całej siły pchnął jego łbem w kamienny mur. Wilk puścił. Na jeden oddech. Wystarczył. Pałka poszła w dół raz, drugi, trzeci, równo i ciężko, jak cep na klepisku, aż słyszał już tylko własny oddech i głuchy dźwięk drewna o kość.

Potem siedział w gnoju i nie mógł zacisnąć palców. Prawej ręki. Tej od procy. Tej od liry.

— Panie — powiedział. — Panie, ja…

Nie wiedział, czy dziękuje, czy się skarży.

O pierwszej szarości policzył owce. Brakowało dwóch. Owcy, która przeskoczyła przez mur. I czarnej kozy z białą łatą na czole. Tej, którą lubił najbardziej.

Ojciec nie zapyta, ile było wilków, pomyślał. Ojciec zapyta, ile brakuje owiec.

✦

Przyszli, kiedy słońce stanęło na szerokość dłoni nad górami Moabu.

Najpierw usłyszał tupot. Ktoś biegł zboczem w górę tak lekko, jakby skały były płaskie jak klepisko. Tylko jeden człowiek w Betlejem tak biegał. Właściwie nie człowiek. Ośmioletni chłopak, chudy jak trzcina, z nogami długimi jak u źrebaka.

— Dawid! — Asahel wypadł zza skały i stanął jak wryty. — Matka przysłała chleb i… na życie Pana! Joab! Chodź tu! On zabił wilka!

— Nie krzycz — powiedział Dawid. — Owce się boją.

Asahel nie usłyszał. Klęczał już przy wilku, dotykał jego zębów, jego zakrwawionego łba.

— Sam? Czym? Procą?

— Pałką.

— Pałką!

Za nim, wolniej, wspiął się drugi. Starszy, dziewiętnastoletni, szeroki w barach, z ciemną, zawsze trochę zmrużoną twarzą, jakby zbyt długo patrzył w słońce. Joab, syn Serui. Joab nigdy nie biegał. Mówił, że kto biegnie, ten albo ucieka, albo jest głupi.

Obaj byli ubrani jak Dawid, jak każdy pasterz w górach Judy: tunika z surowej wełny, płaszcz z koziej sierści, który w nocy był kocem, a w deszcz dachem, torba pasterska u pasa. Tylko sandały Joab miał lepsze. Joab zawsze miał lepsze sandały.

Postawił na ziemi worek z chlebem. Popatrzył na wilka. Potem na rękę Dawida.

— Pokaż.

Dawid odwinął pas. Asahel syknął przez zęby. Joab ukląkł i obejrzał ranę uważnie, jak kupiec ogląda srebro.

— Kość cała. Będziesz miał blizny jak stary Hur. — Wstał, wyjął zza pasa nóż z brązu i trącił wilka sandałem. — A ten ma dobrą skórę. Zimowa jeszcze. Pół sykla w Hebronie.

— Nie będę jej sprzedawał.

— Czemu?

— Bo zaniosę ją ojcu.

Joab zaczął obdzierać wilka. Robił to szybko, sprawnie, jakby robił to od urodzenia. Joab wszystko robił tak, jakby robił to od urodzenia.

— Ile ich było?

— Trzy. Może cztery.

— I nikogo nie zawołałeś? Dom jest bliżej, niż się wydaje. Gdybyś zadął w róg…

— Nie mam rogu.

Joab przerwał pracę.

— Ojciec dał wszystkim synom rogi. Na Święto Szałasów. Eliabowi, Szammie… nawet temu niezdarze, co nie umie dmuchnąć w dzban.

— Wszystkim synom — powtórzył Dawid cicho.

Joab parsknął, jakby chciał coś powiedzieć o rogach, ale tylko szarpnął nożem skórę. Mocniej, niż trzeba było. Potem wrócił do pracy.

Byli rodziną w ten pokręcony sposób, w jaki bywały rodziny w Betlejem. Seruja, matka Joaba, była najstarszą córką Jessego, a Dawid najmłodszym synem. Siostrzeniec był starszy od wuja o trzy lata. Kiedy byli mali, Joab bił Dawida za to, że ten mówił do niego „siostrzeńcze". Potem przestał bić, bo Dawid zaczął oddawać.

— Eliab wrócił? — zapytał Dawid. — Z Amaleka?

— Wczoraj wieczorem — wtrącił Asahel. — Wszyscy trzej. Eliab ma nowy płaszcz w paski. Amalecki. I przyprowadził owcę, taką grubą, z ogonem jak worek. Dziadek się cieszył.

A Eliab przyprowadził owcę. Z łupu, który miał być niczyj.

— Mówią, że Samuel zarąbał ich króla w Gilgal — rzucił Joab, nie podnosząc głowy. — Bo Saul go oszczędził. I że płaszcz proroka się rozdarł. — Zeskrobywał tłuszcz ze skóry. — Pan mówi jedno, królowie robią drugie, a prorocy rąbią jeńców. A potem my, zwykli, płacimy za wszystko.

— Mówisz jak stary.

— Mówię jak mój ojciec. Zanim umarł.

Dawid wstał. Zatoczył się lekko, ale stanął pewnie.

— Brakuje mi kozy. Tej czarnej z łatą. I owcy. Uciekły w wąwóz.

Joab spojrzał w stronę wąwozu, schodzącego krętą szczeliną w dół, ku pustyni i Morzu Słonemu, dokąd nikt z Betlejem nie chodził bez potrzeby.

— Tam są jeszcze dwa wilki. Ranne. Wściekłe. I ty idziesz po kozę z jedną ręką.

— Najpierw idę do domu. Ojciec musi wiedzieć.

— A potem zrobisz coś głupiego. — Joab zwinął skórę i przerzucił ją przez ramię. — Dobrze. Asahel zostanie przy stadzie.

— Ja?! Czemu ja?

— Bo jesteś najszybszy. Jak wilki przyjdą, pobiegniesz po ludzi. I tym razem nie zatrzymasz się, żeby gonić zające.

Zeszli ścieżką w stronę Betlejem, które leżało na grzbiecie wzgórza jak garść białych kostek rzuconych na brązowy obrus.

Przy pierwszych domach Joab szedł tak, żeby jego ramię zasłaniało Dawida od strony bramy, gdzie siedzieli starsi i patrzyli na każdego, kto przechodził.

✦

Dom Jessego stał przy samej bramie i był największy w Betlejem. Postawił go Obed, syn Boaza. Tego Boaza, który pewnego dnia na żniwach zobaczył obcą kobietę zbierającą kłosy za jego żniwiarzami.

Moabitkę.

Tego słowa w domu Jessego nie mówiło się głośno.

Cztery izby wokół podwórza, z kamienia do wysokości pasa, wyżej z cegły. Z jednej strony obórka za rzędem kamiennych słupów i żłobów, z drugiej żarna i gliniany piec. Nad wszystkim płaski dach, na który wchodziło się po drabinie.

Kiedy Dawid wszedł na podwórze, cała rodzina siedziała na macie pod figowcem. Chleb jęczmienny, soczewica z czosnkiem, oliwki. I mięso, rzadkość w dzień powszedni. Pachniało pieczoną baraniną, aż kręciło się w głowie.

Jesse siedział na honorowym miejscu, plecami do pnia. Był stary w sposób, w jaki starzeją się ludzie, którzy za długo coś w sobie dźwigają. Twarz miał pooraną bruzdami jak pole po deszczu, a oczy małe, ciemne, nieruchome. Nosił płaszcz starszego, z białej wełny, do kostek, a na czterech rogach płaszcza wisiały frędzle z błękitną nicią, jak nakazał Mojżesz, żeby Izrael, patrząc na nie, pamiętał przykazania. Synowie mieli frędzle krótsze. Dawid nie miał ich wcale. Pasterz przy owcach chodzi w tunice.

Po jego prawicy siedział Eliab. Pierworodny. Wysoki, z gęstą czarną brodą, w nowym płaszczu w czerwone i żółte pasy. Nie był to płaszcz z Judy. Obok Abinadab, cichy, z twarzą jak zamknięta skrzynia. Szamma, chudy, z ustami, które nigdy się nie zamykały. Dalej trzej młodsi, podobni do siebie jak trzy dzbany z jednego pieca. Kobiety osobno, przy ognisku: matka, która wstała, kiedy go zobaczyła, i znowu usiadła. Siostry, Seruja i Abigail.

Ojciec nie podniósł głowy.

— Pasterz przyszedł — powiedział Szamma głośno. — Owce już same się pasą? Nauczyłeś je w końcu grać na lirze?

Kilku braci się roześmiało.

Joab zrzucił z ramienia skórę i rozwinął ją przed matą. Szara sierść zalśniła w świetle ogniska.

— Wilki — powiedział. — Trzy albo cztery. Ten był największy. Zabił go pałką.

Któryś z młodszych gwizdnął przez zęby. Inny wyciągnął rękę i dotknął futra.

— Pewnie był stary i chory — prychnął Szamma. — Takie się same podkładają.

— To mu pokaż swoje rany od starego i chorego wilka — powiedział Joab spokojnie.

Szamma otworzył usta i zamknął je z powrotem.

Dawid patrzył na ojca. Czekał.

Jesse łamał chleb w palcach, powoli, na drobne kawałki, i maczał je w soczewicy.

— Ile sztuk? — zapytał.

Dawid poczuł, że coś ściska mu gardło.

— Dwie. Owca i koza. Uciekły w wąwóz.

— Dwie. Przez jedną noc. — Ojciec pierwszy raz podniósł głowę. Nie było w tym spojrzeniu złości. Było coś gorszego. Obojętność. Tak patrzy się na wołu, który okulał. — Hur pasł stada Boaza przez trzydzieści lat i nie stracił ani jednej sztuki. Jutro pójdziesz i znajdziesz obie. Jak nie znajdziesz, odpracujesz u Nabala w Karmelu przy strzyży.

— Nabal płaci ćwierć sykla za sezon — wtrącił Joab. — I bije ludzi. Kijem. Sam widziałem. Ten grubas ledwie go unosi, a bije.

— Nikt cię nie pytał, synu Serui.

Na macie nie było dla Dawida miejsca. Siedzieli od ojca w dół, według wieku, tak jak zawsze. Między ostatnim z braci a krawędzią maty zostało jeszcze trochę wolnego, ale brat rozłożył kolana szeroko i patrzył w misę.

— Siądź tutaj, synu — powiedziała matka cicho i wskazała kamień przy wejściu. Tam, gdzie zawsze siadał. Przy obórce. Gdzie pachniało gnojem i wiało, kiedy ktoś wchodził.

Usiadł.

Przyniosła mu soczewicę, chleb i kawałek baraniny, większy niż ten, który dostali bracia. Przez moment jej dłoń dotknęła jego ramienia. Tak lekko, że nikt nie zauważył.

Nazywała się Nicewet. Nikt w Betlejem nie pamiętał, kiedy ostatni raz słyszał, jak się śmieje.

— Opowiadaj, Eliabie! — zawołał któryś z młodszych. — O Amaleku!

Eliab opowiadał. O wadi. O stu rogach o świcie. O trzech zabitych, może czterech. Ojciec słuchał z pochyloną głową i od czasu do czasu kiwał nią, jakby potwierdzał to, co i tak wiedział. Że jego pierworodny jest synem, jakiego powinien mieć każdy ojciec w Izraelu.

Skóra wilka leżała przed matą. Domownicy przestępowali ją, idąc po wodę.

— A Samuel? — zapytał Dawid od drzwi.

Głowy się odwróciły. Jakby przemówił pies.

— Mówią, że się gniewał — powiedział Dawid. — Że Pan kazał zniszczyć wszystko, a wy przyprowadziliście stada. — Wskazał głową rożen. — Pan powiedział: nic dla nas. A my to jemy.

Zapadła cisza. Taka, w której słychać, jak trzaska ogień.

Eliab odstawił misę.

— Wiesz, co to znaczy „wszystko", pasterzu? — zapytał. Głos miał ostry. — Wiesz, co robiliśmy od świtu do południa? Wiesz, jak krzyczy matka, kiedy… — Zacisnął szczęki. — Nie wiesz. Siedzisz z owcami i grasz na swoim patyku.

— Prorok nam się urodził! — zaśmiał się Szamma wysoko, nerwowo. — Samuel z owczarni! Może ojciec zawiezie go do Rama, niech go Samuel namaści!

— Dość.

To był ojciec. Nie podniósł głosu. Nigdy go nie podnosił.

— Część dla Pana spłonęła na ołtarzu w Gilgal, część dla nas przyszła tutaj. — Jesse powoli obrócił głowę w stronę drzwi. — A tobie, synu, kto dał prawo sądzić starszych braci? Tobie, który nie umiesz upilnować dwóch kóz?

Wstał od maty. Koniec wieczerzy.

Eliab, przechodząc obok drzwi, zatrzymał się. Spojrzał w dół, na Dawida.

— Wiesz, co mówią w mieście? — zapytał bardzo cicho, tak że słyszał to tylko Dawid.

— Co?

— Że nie jesteś synem naszego ojca.

Eliab patrzył na niego bez uśmiechu. Bez nienawiści nawet. Tak patrzy człowiek, który sam nie wie, w co wierzyć, i nie lubi, kiedy mu o tym przypominać.

— Że twoja matka… — zaczął i urwał. — Nieważne. Ja tak nie mówię. Ja tylko mówię, co mówią inni.

— Wiem, co mówią inni. — Dawid wstał. Był od Eliaba niższy o półtorej głowy. — Słyszę to od dziecka.

— To dlaczego nie milczysz?

— Bo jestem synem Jessego. Tak samo jak ty.

Eliab odwrócił się i odszedł na dach. Amalecki płaszcz w pasy zamiatał frędzlami po ziemi.

Dawid podniósł z ziemi skórę wilka, którą wszyscy przestępowali, zwinął ją i zaniósł do obórki. Położył ją przy żłobie, na swoim kamieniu. Nikt tego nie zauważył.

Słyszał to od dziecka. Przy studni. Przy bramie. W szeptach kobiet, które milkły, kiedy przechodził. Rudy. Nie taki jak bracia. Pewnie nie jego. I zawsze odpowiadał tak samo: jestem synem Jessego.

Pierwszy raz w życiu nie był pewien, czy w to wierzy.

✦

Matka przyszła do niego, kiedy dom już spał.

Leżał na dachu, w kącie, przy parapecie od strony pustyni. Ręka pulsowała tak, jakby w środku biło drugie serce.

Usiadła przy nim w ciemności z lampką, winem i oliwą. Bez słowa odwinęła pas. Polała ranę winem. Dawid wbił paznokcie lewej ręki w glinę dachu. Potem oliwą. Potem owinęła czystym lnem.

— Matko — powiedział, kiedy skończyła. — Dlaczego ojciec na mnie nie patrzy?

Nie odpowiedziała od razu. W świetle lampki widział jej profil: prosty nos, wąskie usta, siwe pasma pod chustą. Kiedyś była piękna. Mówiono o tym w Betlejem, kiedy myślano, że nie słyszy.

— Znasz historię swojej prababki? — zapytała zamiast odpowiedzi.

— Rut.

— Rut. Moabitki. Która zbierała kłosy za żniwiarzami Boaza. Która położyła się w nocy u jego stóp na klepisku i powiedziała: rozciągnij skraj swego płaszcza nad służebnicą twoją. — Spojrzała na niego. — Wiesz, co mówi Prawo o Moabitach?

— Nie wejdą do zgromadzenia Pana. Nawet do dziesiątego pokolenia.

— Nawet do dziesiątego pokolenia. — Głos jej ścichł. — Boaz przekonał starszych, że Prawo mówi o Moabitach, nie o Moabitkach. Ale ludzie pamiętają. Twój ojciec przez całe życie słyszał za plecami: wnuk Moabitki. Że jego krew nie jest czysta. Że jego synowie…

Urwała.

— Że jego synowie co?

Nicewet zgasiła lampkę. W ciemności jej głos był ledwie słyszalny.

— Twój ojciec boi się, synu. Całe życie się boi. A kiedy człowiek się boi tak długo, zaczyna szukać kogoś, na kogo może ten strach zrzucić. Jak kozła, którego kapłan wypędza na pustynię w Dzień Przebłagania. Z grzechami wszystkich na grzbiecie.

— I ja jestem tym kozłem?

Nicewet nie odpowiedziała.

— Eliab powiedział… — zaczął Dawid.

— Wiem, co powiedział Eliab. — Głos matki stwardniał. — Słyszę to od szesnastu lat.

— To prawda?

Długo milczała. Potem poczuł, jak jej ręka, szorstka od żaren, kładzie się na jego głowie. Gładzi jego włosy. Rude jak żadne inne w rodzie Jessego.

— Jesteś synem Jessego — powiedziała matka. — Synem mojego męża. Na życie Pana, Boga Izraela, przed którym stoję.

— To dlaczego on w to nie wierzy?

— Bo są rzeczy, o których mówić nie wolno. Nawet kiedy są prawdą. — Jej ręka znieruchomiała. — Tamtej nocy, kiedy się urodziłeś… — Zamilkła. — Jeszcze nie teraz, synu. Jeszcze nie.

— Jaka noc? Matko, jaka noc?

Ale ona już wstawała.

— Śpij. Jutro idziesz w wąwóz. Weź kij Hura, ten długi, z hakiem. Leży w obórce za żłobem.

— Skąd wiesz, że tam pójdę?

— Bo jesteś moim synem. — Usłyszał w jej głosie uśmiech. Pierwszy raz od bardzo dawna. — I bo lubisz tę kozę.

Odeszła. Jej bose stopy szeleściły po glinie dachu. Dawid leżał i wpatrywał się w gwiazdy.

Tamtej nocy.

Matka nie kłamała. Nigdy. Ale coś wiedziała i nie chciała powiedzieć.

Dobrze, pomyślał. Przyniosę kozę. I owcę. Obie. Jeszcze przed szabatem.

Gwiazdy krążyły nad nim powoli, jak owce w zagrodzie, jak stado prowadzone przez kogoś, kogo nie widać.

Gdzieś w głębi, tam, gdzie rodzą się słowa, zaczęło mu się coś układać.

Kiedy patrzę na Twoje niebo, na dzieło Twoich palców, na księżyc i gwiazdy, które Ty umocowałeś…

Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz?

Nie dokończył. Usnął.

✦

Obudził go krzyk.

Ludzki. I zaraz drugi, i trzask rozbitego dzbana, i ryk osła, i tupot nóg na ulicy.

Dawid podbiegł do parapetu od strony bramy i wychylił się.

Przy studni pod murem stali Filistyni.

Sześciu. Pięciu na nogach, jeden na ośle. Poborcy, ale uzbrojeni. Okrągłe tarcze, długie proste miecze u pasa, włócznie. Hełmy z utwardzonego rzemienia z płytkami brązu. Ogolone twarze. Nikt w Izraelu nie golił twarzy. Ogolona twarz była twarzą obcego.

Ten na ośle był gruby, z brzuchem opiętym kolorową tuniką, z kolczykami w uszach. Za nim wlokły się dwa osły objuczone czymś, co dzwoniło. Lemiesze, motyki, siekiery. Żelazo z połowy wiosek między Betlejem a Gat, związane w pęki jak drwa.

Pod studnią leżał rozbity dzban. Obok, na kolanach, siedziała Abigail, siostra Dawida, i trzymała się za policzek.

Dawid zbiegł po drabinie, zanim zdążył pomyśleć.

Na placu zebrała się już połowa Betlejem. Starsi wstali ze swoich ław. Kobiety cofały się pod ściany, przyciskając dzieci. Mężczyźni stali i nie robili nic.

— Poborcy z Gat — powiedział Joab, który był już przy narożniku domu. — Po opłatę za ostrzenie. Ten młody złapał Abigail za rękę. Odepchnęła go.

To ją uderzył.

Jesse szedł od domu powoli, z laską, a za nim Eliab, Abinadab i Szamma. Szamma, blady jak ser, trzymał się z tyłu.

Gruby Filistyn uśmiechnął się szeroko.

— A! Jesse z Betlejem! Wnuk wielkiego Boaza! — Mówił po hebrajsku, z twardym, obcym akcentem. — Twoje kobiety mają za ciężkie ręce. Moi ludzie są ranni.

— Padi — powiedział Jesse. — Ile?

— Jak zawsze. Pim za lemiesz. Pim za motykę. Trzecia część sykla za siekierę. — Padi rozłożył ręce. — I jeszcze sykl srebra za twarz mojego człowieka. Okrągły.

— Pim za lemiesz to rozbój! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Pim za lemiesz to cena. Rozbój będzie, jak nie zapłacicie. — Padi uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Albo jak sami spróbujecie zrobić kuźnię. Pamiętacie Ezrona z Tekoa?

Tłum zamilkł.

Wszyscy pamiętali Ezrona z Tekoa. Spalili mu dom razem z kuźnią. Jego głowę zostawili na palu przy drodze do Hebronu, z miechem kowalskim przywiązanym do szyi.

Wtedy Eliab wystąpił naprzód.

Był wyższy od każdego z Filistynów o pół głowy. W amaleckim płaszczu, z czarną brodą, z rękami jak bochny chleba, wyglądał jak sam Gedeon z pieśni.

— Słuchaj, ty ogolona mordo — powiedział. — Tydzień temu byłem pod Hawilą. Przy królu Saulu. Wiesz, ilu Amalekitów tam zostało? Żaden. A teraz zabieraj swoje osły i wynoś się z Betlejem, zanim…

Nie dokończył.

Młody Filistyn z rozdrapanym policzkiem podszedł do niego szybko, płynnie, bez zbędnego ruchu. Nie wyciągał miecza. Uderzył Eliaba okuciem włóczni w brzuch, tuż pod żebrami. Podciął mu nogi drzewcem. Pierworodny syn Jessego, który zabił trzech, może czterech Amalekitów, padł na kolana w kałużę spod rozbitego dzbana.

Filistyn postawił mu sandał na plecach i zerwał z niego amalecki płaszcz.

— Ładny — powiedział, oglądając frędzle. — Sam go zdobyłeś, wojowniku? No to teraz ja go zdobyłem.

— Ikausu — zaśmiał się Padi. — Zostaw mu chociaż tunikę.

Nikt się nie poruszył. Ani Abinadab z zaciśniętymi pięściami. Ani Szamma, który cofał się w tłum. Ani mężczyźni z Betlejem, którzy mieli w domach siekiery i motyki. Tępe. Tępe jak język starca.

Dawid poczuł, że ręka sama sięga za pas.

Proca. Kamień. Ikausu stał piętnaście kroków od niego. Bokiem. Hełm z rzemienia nie zakrywał mu skroni.

— Teraz — szepnął Joab obok niego. — W skroń. Ja wezmę tego z lewej.

Palce prawej ręki, owiniętej lnem, nie chciały się zacisnąć. Dawid przełożył procę do lewej.

Lewa była słabsza. Ale lewa też umiała.

Zrobił krok do przodu.

Czyjaś ręka zacisnęła się na jego nadgarstku jak kleszcze.

Ojciec.

Jesse nie patrzył na niego. Patrzył na Padiego. Ale trzymał rękę Dawida tak mocno, że kości zatrzeszczały.

— Zapłacę — powiedział głośno. — Pim za lemiesz. Sykl za twojego człowieka.

Liczył srebro powoli, na dłoni, kawałek po kawałku, a Padi ważył je na swojej wadze kamiennymi ciężarkami. Ikausu wynosił z domów betlejemskie

lemiesze i motyki.

Kiedy było po wszystkim, gruby Filistyn spojrzał w stronę narożnika, gdzie stał Dawid z procą w lewej ręce. Na rude włosy. Na kamień w kieszeni procy, wciąż gotowy.

— A to kto? Ten rudy?

— Mój najmłodszy — powiedział Jesse. — Pasterz. Nic nie znaczy.

Nic nie znaczy.

Dawid stał nieruchomo. Słowa weszły w niego jak zęby wilka. Głębiej.

— Nic nie znaczy — powtórzył Padi. — Ma oczy jak wilk. — Tym razem jego oczy się nie uśmiechały. — Uważaj na niego, Jesse. W Gat mamy jednego takiego, co patrzy jak wilk. Ma cztery łokcie wzrostu i zjada na śniadanie twoich wojowników. Jak ten rudy podrośnie, przyprowadź go. Zobaczymy, jak długo będzie tak patrzył.

Odjechał. Za nim osły, objuczone żelazem całej Judy. Ikausu szedł ostatni, z amaleckim płaszczem na ramieniu. Przy bramie odwrócił się i pomachał nim jak chustą.

Eliab wstał z błota i odszedł do domu sztywnym krokiem, z podniesioną głową. Nie spojrzał na nikogo.

— Dlaczego? — zapytał Dawid cicho, kiedy ojciec przechodził obok.

Jesse się zatrzymał.

— Dlaczego mnie zatrzymałeś? Trafiłbym go w skroń.

— A potem? — Ojciec odwrócił się do niego. Pierwszy raz od bardzo dawna patrzył mu prosto w oczy. — Wróciliby za dziesięć dni. Nie sześciu. Sześćdziesięciu. Z rydwanami. Spaliliby Betlejem jak Tekoa. Twoją matkę. Twoje siostry. — Głos miał cichy i suchy jak piasek. — Myślisz, że ja nie chcę? Myślisz, że ja tego nie widzę każdej nocy?

— Powiedziałeś, że nic nie znaczę.

— Powiedziałem to, co musiał usłyszeć Filistyn — odparł. — Żeby cię nie zapamiętał.

— A co myślisz ty, ojcze?

Jesse patrzył na niego. Na rude włosy. Na oczy, które Padi nazwał wilczymi.

Odwrócił się i poszedł do domu.

Joab stanął obok Dawida i przez chwilę obaj patrzyli na zamkniętą bramę.

— On ma rację — powiedział Joab. — Wróciliby.

— Wiem.

— Ale kiedyś przyjdzie dzień, że to oni będą przychodzić do nas. Ostrzyć. I płacić pim.

— Kto ich do tego zmusi?

Joab zmrużył oczy, jakby oceniał wilczą skórę na targu.

— Ktoś, kto ma oczy jak wilk — powiedział. — I nie słucha ojca.

✦

Przy studni zrobiło się pusto.

Dawid zebrał skorupy rozbitego dzbana Abigail i odłożył je na bok. Opuścił skórzany wór na sznurze w głąb studni. Wyciągnął. Napił się.

Woda była chłodna jak noc na pustyni i słodka jak nic na świecie. Najlepsza woda w Judzie, mówili starzy. Kto się jej napił w dzieciństwie, ten jej szuka do końca życia.

Przy tej studni Rut czerpała wodę dla Noemi. Przy tej bramie krewny Boaza zdjął sandał na znak, że oddaje mu prawo wykupu. A dziś przy tej samej studni Filistyn ważył srebro Jessego.

— Dawid.

Asahel stał obok, zziajany jak zawsze. Trzymał w rękach kij Hura, długi, z hakiem na końcu, i dwa placki chleba zawinięte w liść figowca.

— Babka Nicewet kazała ci dać.

Dawid wziął kij. Był ciężki, stary, wygładzony od dłoni ludzi, którzy już nie żyli.

— Mogę iść z tobą? — zapytał Asahel.

— Nie. Zostaniesz przy stadzie. Jak wilki przyjdą, pobiegniesz. Nikt w Betlejem nie biega tak jak ty. Jesteś jak gazela.

— To znaczy, że szybko biegam.

— To znaczy, że nikt cię nie złapie. — Dawid się uśmiechnął. Pierwszy raz od wczoraj. — Ani wilk, ani Filistyn. Ani nawet Joab.

Zatknął pałkę za pas. Procę owinął wokół lewego nadgarstka. Prawą rękę przytulił do piersi.

Przy bramie siedział stary Szallum, najstarszy człowiek w Betlejem. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy Filistyni zabrali Arkę z Szilo. Nie miał zębów, nie miał prawie wzroku. Ale pamiętał wszystko. Wszyscy w Betlejem to wiedzieli.

Dawid zatrzymał się przy nim.

— Dziadku Szallumie.

Starzec podniósł głowę.

— Syn Jessego. Ten rudy. Poznaję cię po kroku. Chodzisz jak ktoś, kto się spieszy, a nie wie, dokąd.

Dawid przykucnął przy nim. Ściszył głos.

— Pamiętasz noc, kiedy się urodziłem?

Szallum przestał się uśmiechać.

Długo nic nie mówił. Jego ślepe oczy patrzyły gdzieś ponad głową Dawida, na mur, na niebo.

— Pamiętam — powiedział w końcu.

— Co się wtedy stało?

— Dlaczego pytasz starca, a nie matki?

— Bo matka mówi: jeszcze nie.

Szallum pokiwał głową. Powoli. Jakby przyznawał komuś rację.

— To słuchaj matki — powiedział. — Ona wie, kiedy. Ja wiem tylko tyle, że tamtej nocy nad Betlejem nikt nie spał. I że nie mnie o tym mówić.

— Dziadku…

— Czyim jesteś synem, chcesz wiedzieć. — Starzec położył mu kościstą dłoń na ramieniu. — Widziałem w życiu wielu synów, chłopcze. Ojciec nie robi z człowieka syna tym, że go spłodził. Robi go tym, że go zawoła. — Zacisnął palce. — Jeszcze cię nie zawołał, prawda?

Dawid nie odpowiedział. Patrzył na kamień pod stopami, jakby tam leżała odpowiedź.

— To idź tam, gdzie słychać wołanie. — Szallum wskazał głową bramę. Pustynię za nią. — Dokąd idziesz?

— W wąwóz. Po kozę. Pod Studnię Szakali.

Starzec pokiwał głową.

— Wilki to jeszcze nic — powiedział. — Za Studnią Szakali, w skałach, gdzie zaczyna się pustynia, ludzie z Tekoa widzieli ślady. Wielkie. Okrągłe. Jak dłoń mężczyzny.

— Jakie ślady?

Szallum uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

— Od czasów Samsona nikt nie widział lwa w górach Judy — powiedział. — Lwy siedzą w gąszczach nad Jordanem, gdzie człowiek nie wchodzi. Ale pustynia ma długą pamięć, synu Jessego. Uważaj, co w niej znajdziesz.

Dawid wstał.

Lew.

Eliab zabił trzech Amalekitów, może czterech, i ojciec kiwał głową przy każdym słowie. Nikt z braci nie zabił lwa. Nikt w Betlejem. Od czasów Samsona nikt w górach Judy.

Brama otworzyła się przed nim. Za nią była ścieżka, zbocze, wąwóz i pustynia. Złota i biała w porannym słońcu, pusta aż po góry Moabu, skąd przyszła kiedyś jego prababka.

Dawid wyszedł i nie obejrzał się za siebie.



ROZDZIAŁ II — Lew

1 Sm 17,34–35

Wąwóz zaczynał się łagodnie, jak wszystkie rzeczy, które zabijają.

Najpierw była ścieżka między tarasami, gdzie rosły oliwki i stare figowce, potem skała. Biała, popękana, gorąca od słońca, chociaż był dopiero ranek. Zbocza schodziły coraz stromiej w dół, a na dnie, tam, gdzie zimą płynął potok, a latem nic, leżały głazy wielkie jak domy.

Dawid schodził ostrożnie, z kijem Hura w lewej ręce, z prawą przyciśniętą do piersi. Ręka pulsowała. Gorąco, równo, w rytm kroków.

Nad wąwozem krążyły sępy. Nisko, coraz niżej, nad jednym miejscem.

Znalazł owcę w połowie drogi. A raczej to, co z niej zostało: rozwleczone kości, strzępy runa, czerwony piach. Wilki dokończyły w nocy to, czego nie zdążyły w zagrodzie.

Dawid ukląkł przy szczątkach. Owca miała przekłute ucho z kawałkiem czerwonej wełny na rzemieniu. Znak Jessego. Odciął ucho nożem i schował do torby.

Prawo pasterzy było stare jak Jakub. Jeśli owcę rozszarpał dziki zwierz, pasterz przynosił właścicielowi to, co zostało. Dowód. Wtedy nie musiał płacić.

Ucho owcy. Dowód dla ojca. Tyle przyniesie do domu, jeśli nie znajdzie kozy.

Wstał i poszedł dalej.

Studnię Szakali znał tylko z opowieści Hura. Cysterna wykuta w skale tak dawno, że nikt nie pamiętał, przez kogo. Może przez synów Anaka, olbrzymów, o których mówili starzy przy bramie. Szakale piły z niej nocami, stąd nazwa.

Kiedy wyszedł zza ostatniego zakrętu, przy cysternie ktoś był.

Chłopak, może trochę starszy od niego. Chudy, ciemny od słońca, z włosami splecionymi w jeden gruby warkocz, w czarnej wełnianej tunice. Usłyszał kroki i zerwał się w jednej chwili, a w jego ręce pojawiła się proca. Rzemienie świsnęły.

— Stój! — krzyknął w mowie, która była prawie hebrajska, ale twardsza. — Stój, albo położę cię jak góralka!

Dawid stanął.

— Szukam kozy.

— Kozy! Wszyscy szukają kóz. Ci z Tekoa też szukali kóz. I wzięli nam dwa wielbłądy.

— Jestem z Betlejem. Syn Jessego.

Chłopak spojrzał na jego zabandażowaną rękę. Na kij z hakiem.

— Co ci się stało?

— Wilki. Były cztery. Jeden nie żyje.

Proca zwolniła. Potem zatrzymała się.

— Kłamiesz — powiedział chłopak, ale bez przekonania.

— Mój siostrzeniec zdarł z niego skórę. Starszy ode mnie o trzy lata. I bije mocniej niż ty.

Chłopak roześmiał się nagle. Miał białe zęby, jeden ułamany z przodu.

— Jestem Rekab — powiedział i schował procę za sznur. — Syn Chamata. Z Kenitów. Byliśmy spod Arad. — Uśmiech mu zgasł. — Teraz jesteśmy tutaj. Bo przyszedł wasz król.

✦

Obóz Kenitów leżał pod nawisem skalnym. Sześć namiotów z koziej sierści, czarnych jak noc, zagroda z cierni, dwa stare wielbłądy. Przy ognisku siedział starzec ze skórą jak kora oliwki i z oczami jasnymi, prawie przezroczystymi, jakby wypalonymi przez słońce. Przed nim, na płaskim kamieniu, leżały kawałki zielonej rudy, skórzany miech i węgiel w koszu.

Chamat obwąchał ranę jak pies. Dotknął opuchniętych palców, jednego po drugim. Umył je wodą z popiołem, która szczypała jak ogień, i nałożył maść z mirry i miodu.

— Ścięgna całe. Trzeciego dnia przyjdzie gorączka. Jak przeżyjesz piąty, będziesz grał na swojej lirze. — Uśmiechnął się, pokazując trzy zęby, kiedy Dawid zdziwił się, skąd wie. — Masz odciski na palcach lewej ręki.

Kenici szli z ojcami Izraela przez pustynię, opowiadał, a potem trzysta lat żyli pod Arad, przy tych samych studniach co Amalek. Aż przyszedł król i przysłał syna. Pięknego chłopca z łukiem i ze smutnymi oczami. Dał im czas do zachodu słońca.

— Moja wnuczka miała męża z Amaleka — powiedział Chamat. — Nie zdążyła go zabrać. — Pochylił się nad ogniem. — Nie mam do was żalu. Ale wiem, co przychodzi do niepochowanego trupa. Sępy. Hieny. Wilki. I lew.

— Od czasów Samsona nikt w górach Judy nie widział lwa… — zaczął Dawid.

— W górach nie. Na dole, w gąszczach nad Jordanem, lwy żyły zawsze. Teraz od Jordanu do Negebu leży mięso i lwy wyszły z gąszczów. Są najedzone. Ale mięso z wojny zgnije. Przyjdzie zima i wtedy pójdą szukać

świeżego. W góry. Do waszych zagród. A w jaskiniach nad wąwozem śpi niedźwiedzica. Wiosną urodzi młode i wyjdzie głodna. Lew zabija, bo jest głodny, synu. Niedźwiedzica zabija, bo się boi.

— Moja koza — powiedział Dawid. — Czarna. Z białą łatą.

— Wlazła w szczelinę pod Wysoką Skałą — odezwał się Rekab. — Beczy od świtu.

Kiedy odchodzili, starzec zawołał za nimi:

— Synu Jessego! Filistyni mówią, że żelazo to tajemnica ich bogów. — Przesypał przez palce garść węgla. — Kłamią. Żelazo to węgiel, ogień i cierpliwość. Zapamiętaj.

✦

Pod Wysoką Skałą ziała szczelina. Wąska, ciemna, głęboka. Z dna dochodziło beczenie.

Dawid położył się na brzuchu i zajrzał w dół. Na głębokości dwóch ludzi coś się poruszało. Coś małego i czarnego, z białą plamą na czole.

— Hej, mała — zawołał cicho. — Jestem tu.

Koza zabeczała wysoko, histerycznie. Ściany szczeliny były gładkie jak dno dzbana.

Wsunął w dół kij Hura. Brakowało łokcia.

— Trzymaj mnie za nogi — powiedział.

— Zwariowałeś. Jak tam wpadniesz…

— To mnie wyciągniesz kijem Hura.

Rekab westchnął, położył się za nim i złapał go za kostki.

Dawid zsunął się w szczelinę głową naprzód. Skała drapała go po piersi. Prawa ręka zahaczyła o występ i ból błysnął mu w oczach. Wsunął się niżej.

Hak zawisł nad kozą. Ślizgał się po jej grzbiecie raz, drugi. Za trzecim razem zaczepił o przednią nogę.

— Ciągnij!

Rekab ciągnął. Koza beczała, jakby ją żywcem obdzierano ze skóry. Skała zdzierała Dawidowi skórę z łokci i kolan, krew spływała mu do oczu z rozbitego czoła. Ale hak trzymał.

Wylecieli ze szczeliny wszyscy troje naraz. Rekab na plecy, Dawid na Rekaba, koza na Dawida. Koza zaczęła lizać mu twarz.

Dawid leżał na ziemi i śmiał się. Nie umiał przestać.

— No, no — powiedział głos nad nimi. — Ładny widok.

Na skale stał Joab. Z nożem za pasem, z twarzą bez wyrazu.

— Szedłem za tobą od Betlejem — powiedział. — Myślałeś, że puszczę cię samego? — Spojrzał na Rekaba. — Kenita. Ci, co mieszkali z Amalekiem?

— Ci, których król oszczędził — odparł Rekab ostro. — I którzy mogli was wszystkich zabić w nocy.

Joab, ku zdziwieniu Dawida, uśmiechnął się.

— Podoba mi się. Ma zęby.

— Jeden ułamany — mruknął Rekab. Potem spoważniał. — Słońce schodzi. Synu Jessego, dziadek mówi: jak kiedyś usłyszysz w nocy ryk, nie biegnij. Lew goni to, co biegnie.

— A jak nie biegnę?

— To lew musi się zastanowić.

Gorączka przyszła trzeciego dnia, tak jak mówił stary Kenita. Piątego przeszła. Ręka zagoiła się do Święta Szałasów.

Krzywo. Na przedramieniu zostały trzy białe bruzdy po wilczych zębach, a dwa palce prawej dłoni nie zginały się do końca. Na lirze grał teraz inaczej. Wolniej. Ale grał.

✦

Na Nów Księżyca po Święcie Szałasów ród Jessego składał doroczną ofiarę.

Tak było od czasów Boaza. Raz w roku, kiedy zboże leżało już w spichrzach, a wino w dzbanach, wszyscy z domu Efraty, którzy żyli w Betlejem i wokół niego, wchodzili na wyżynę nad miastem, do ołtarza z nieociosanych kamieni. Nie było przy nim kapłana. Kapłani byli w Nob. Ofiarę składał najstarszy z rodu, a w tym roku po raz pierwszy jego najstarszy syn, bo Jesse miał już za słabe ręce do noża.

Dzień wcześniej wszyscy prali szaty. Kobiety biły je kijankami w korycie przy studni, aż woda robiła się szara, i rozkładały na dachach. Mężczyźni nie dotykali żon. Nikt nie dotykał zmarłych. Nikt nie jadł niczego, co zdechło samo. Rano wszyscy szli na wyżynę czyści, w świeżo wypranej wełnie, która jeszcze pachniała popiołem z ługu i słońcem.

Dawid szedł ostatni. Prowadził barana.

Baran był z jego stada. Roczny, biały, bez skazy. Wybrał go sam, wiosną, i od wiosny pasł go osobno, na najlepszej trawie przy słupie Racheli. Teraz baran szedł za nim spokojnie, ufnie, i trącał go łbem w łokieć.

Eliab czekał przy ołtarzu. W białym płaszczu ojca, z frędzlami. Wziął barana za róg.

Nie spojrzał na Dawida.

Dawid widział, jak brat przyciska baranowi łeb do kamienia. Jak nóż z brązu przechodzi przez gardło. Jak krew bucha do misy, którą trzymał Abinadab. Eliab chlusnął nią u podstawy ołtarza, z czterech stron. Tłuszcz z nerek i ogon spalił na ogniu. Dym poszedł w górę, tłusty i słodki. Starcy podnieśli ręce.

Potem mięso. Mostek i prawa łopatka dla Pana. Reszta do kotłów. Kobiety przy kotłach dorzucały porów i czosnku, zielonej kolendry, soli z Morza

Słonego, która była szara i gorzka. Placki z pszenicy, nie z jęczmienia, bo dziś święto. Rodzynki sprasowane w krążki. Wino z ostatniego winobrania, młode, kwaśne, rozcieńczone wodą.

Zanim usiedli do jedzenia, Jesse wstał. Wsparty na lasce, przed ołtarzem. Wszyscy ucichli.

Co roku mówił to samo. Co roku tymi samymi słowami. Pokolenia.

— Peres zrodził Chesrona — mówił. Głos miał suchy, równy, jak ktoś, kto liczy owce. — Chesron zrodził Rama. Ram zrodził Amminadaba. Amminadab zrodził Nachszona, który pierwszy wszedł w morze, kiedy Mojżesz je rozdzielił. Nachszon zrodził Salmona. Salmon zrodził Boaza.

Zawahał się. Tylko na moment. Co roku się w tym miejscu wahał.

— Boaz zrodził Obeda. Z Rut.

Nie powiedział: Moabitki. Nikt nie powiedział. Ale wszyscy usłyszeli, jak nie powiedział.

— Obed zrodził Jessego. A Jesse zrodził… — Spojrzał na synów siedzących w rzędzie, od najstarszego. — Eliaba, pierworodnego. Abinadaba. Szammę. Netanela. Raddaja. Osema. Elihu, który jest w Gibea przy królu.

Siedmiu. Liczba pełna. Liczba szabatu.

Dawid siedział na końcu rzędu. Przy kotłach. Tam, gdzie się dorzuca drew.

Nikt się nie poruszył. Wiatr zaszumiał w terebintach. Matka przy kotłach stała z chochlą w ręku, nieruchoma jak żona Lota.

Jesse otworzył usta. Zamknął je. Usiadł.

— I Dawid — powiedział ktoś.

Stary Szallum. Siedział między starszymi, ślepy, z rękami na lasce. Nie podniósł głosu. Powiedział to tak, jak się dopowiada słowo, które ktoś zgubił w modlitwie.

— I Dawid — powtórzył. — Ósmy. Ósmego dnia obrzezuje się chłopca, Jesse. Siedem to pełnia. Ósmy to początek.

Nikt mu nie odpowiedział. Kobiety zaczęły nakładać mięso. Starsi rozmawiali o deszczu. Eliab łamał chleb.

Dawid dostał swoją część na końcu. Kawałek karku. Najgorszy. Nicewet przyniosła mu go sama. Pod kawałkiem karku, w misce, leżał drugi kawałek. Z łopatki.

Nikt nie widział.

Jadł powoli, patrząc na dym, który jeszcze snuł się nad ołtarzem. Ósmy, myślał. Początek.

Nie wiedział jeszcze, czego.

✦

Koza z białą łatą chodziła za nim jak pies. Wilki odeszły na wschód, za Studnię Szakali, i nie wróciły. Dawid prawie zapomniał o tym, co mówił stary Kenita przy ognisku.

Prawie.

Potem przyszły deszcze. Chłodne, długie, z zachodu, od morza. Potok pod Betlejem wezbrał i zrobił się brązowy. Wąwozy zamieniły się w rwące koryta. Pasterze spędzili stada bliżej domów, do zagród pod murami, a na noc rozpalali ogniska tak wielkie, że widać je było z Tekoa.

W miesiącu, kiedy na wzgórzach kwitną migdałowce, w dolnej zagrodzie zniknęła owca.

Nie było krwi. Nie było szczątków. Był tylko mur zagrody, rozrzucony w jednym miejscu, jakby ktoś przeszedł przez niego, nie zatrzymując się.

Tydzień później zniknęła krowa z Tekoa. Potem dwie kozy starego Szalluma.

Dawid znalazł ślady w błocie pod Wysoką Skałą. Okrągłe. Wielkie. Jak dłoń mężczyzny.

Kucał nad nimi długo, z kijem Hura na kolanach.

Mięso z wojny zgnije, mówił Chamat. Przyjdzie zima. I wtedy pójdą szukać świeżego.

Tej nocy przy zagrodzie Jessego czuwało czterech.

Dawid. Joab, dziewiętnastoletni, z nożem, który ostrzył od zmierzchu. Abiszaj, jego brat, piętnastoletni, krępy, z nosem rozbitym w jakiejś bójce i z oszczepem pasterskim, który pożyczył od jednego z braci Dawida. I Asahel, ośmioletni, który miał spać, ale nie spał, bo nie chciał niczego przegapić.

Deszcz przestał padać przed północą. Chmury się rozeszły. Księżyca nie było.

Obudził ich dźwięk.

Nie usłyszeli go. Poczuli. Najpierw w kościach, w żebrach, w zębach. Jak burza, która wchodzi do środka. Niski, przeciągły grzmot, który wychodził z ziemi, ze skał, z samej nocy. Narastał. Aż wypełnił cały świat.

A potem urwał się, jak ucięty nożem.

Cisza, która przyszła potem, była gorsza.

W zagrodzie owce nie beczały. Milczały i tłoczyły się pod ścianą od strony ognia, z łbami wciśniętymi w runo sąsiadek. Stary kozioł z rozdartym uchem stał na środku i drżał. Cały. Od rogów do kopyt.

Coś się poruszyło na krawędzi światła.

Lew nie chodził. Lew płynął. Ciemność zgęstniała w jednym miejscu i przybrała kształt. Długi. Niski. Ogromny. Głowa jak skała. Grzywa czarna, sięgająca do połowy grzbietu. Żebra widać było pod skórą. Był chudy. Głodny po zimie.

Patrzył nie na owce. Na nich.

Dawid poczuł, że ręka z procą mu drży. Ta sama ręka, która nie zginała się do końca.

— Nie biegnij — wyszeptał do Asahela, nie odwracając głowy. — Lew goni to, co biegnie.

Lew poszedł wzdłuż muru zagrody. Powoli. Jakby spacerował po własnym podwórzu.

Potem skoczył.

Przeleciał nad murem jak czarna woda. Beczenie, które tkwiło w owczych gardłach, wybuchło naraz, wrzask rzezi. Szczęki zamknęły się na jagnięciu z tej zimy. Lew podniósł je jak kot mysz i zawrócił do muru.

Dawid wypuścił kamień.

Chybił. Kamień odbił się od muru o łokieć od łba lwa. Ręka drżała za bardzo.

Lew przeskoczył mur i zniknął w ciemności.

Dawid przeskoczył za nim, zanim pomyślał.

— Dawid! — ryknął Joab. — Stój, głupcze!

Nie stał. Biegł w dół zbocza, w czarną noc, z procą na nadgarstku. Lew przed nim nie biegł. Odchodził. Spokojnie. Przecież nikt go nie będzie gonił.

Dogonił go na płaskiej półce skalnej nad wąwozem. Lew odwrócił łeb. Żółte oczy. Białe jagnię zwisające z pyska.

Dwadzieścia kroków.

Dawid włożył drugi kamień do kieszeni procy. Palce mu się trzęsły.

Panie, pomyślał. Panie.

Puścił.

Trzask kamienia o czaszkę był taki, jakby ktoś rozbił dzban. Jagnię wypadło lwu z pyska. Przednie łapy ugięły mu się w kolanach.

Ale nie upadł.

Potrząsnął łbem, jak pies wychodzący z wody. Z rozciętego czoła płynęła mu krew. Oczy zrobiły się inne.

Lew zaryczał.

Z dwudziestu kroków to nie był dźwięk. To była siła. Uderzyła Dawida w pierś jak pięść.

I ruszył.

Dawid wbił kij Hura końcem w skałę, hakiem do góry, i przytrzymał go całym ciałem, jak włócznię.

Lew wbiegł na kij. Hak wszedł mu w paszczę. Drewno trzasnęło, wygięło się, ale wytrzymało. Łapa trafiła Dawida w bok i odrzuciła go na skałę jak worek.

Leżał na plecach. Nie mógł oddychać. Lew stał nad nim. Krew i ślina kapały mu na twarz.

Więc tak to się kończy, pomyślał Dawid. Jasno. Spokojnie. Jakby myślał o kimś innym.

Lew podniósł łapę.

I wtedy uderzył go Joab.

Z boku, z rozbiegu, całym ciałem. Wbił mu nóż pod łopatkę, aż po rękojeść. Wyrwał. Wbił drugi raz. Lew obrócił się na niego. Łapa trafiła Joaba w ramię i rzuciła nim o skałę.

Dawid wstał. Nie wiedział, jak.

Rzucił się lwu na grzbiet. Wczepił się w grzywę. Wyrwał zza pasa pasterski nóż, krótki, do odcinania uszu i strugania lir, i ciął w gardło. Raz. Drugi. Nóż był za mały. Ślizgał się po grzywie. Lew szarpnął się, przewrócił na bok i przygniótł Dawidowi nogę.

Dawid krzyknął.

Lew podniósł łeb. Paszcza otworzyła się nad jego twarzą.

Oszczep wszedł lwu w pierś. Z góry. Z całej siły piętnastoletnich rąk.

Abiszaj stał nad nimi, oparty całym ciężarem na drzewcu, i krzyczał. Bez słów. Krzyczał i pchał, i pchał, aż grot wyszedł lwu z drugiej strony.

Lew wydał dźwięk, jakiego Dawid nie słyszał nigdy. Cichy. Prawie zdziwiony.

Żółte oko wpatrywało się w Dawida z odległości dłoni.

Patrzyli na siebie, chłopiec i lew, dopóki oko nie zgasło.

✦

Joab żył. Siedział pod skałą z lewym ramieniem rozharatanym od barku do łokcia. Trzy bruzdy, głębokie na palec.

Abiszaj usiadł na ziemi, puścił oszczep i zaczął płakać. Piętnaście lat. Pierwszy raz w życiu zabił coś większego od zająca.

Dawid nie mógł wstać. Lewa noga, ta, którą przygniótł lew, nie chciała go słuchać. Leżał na plecach na półce skalnej, patrzył w gwiazdy i trząsł się. Całym ciałem. Zęby mu dzwoniły.

Z góry zbocza dobiegły krzyki. Pochodnie. Asahel pobiegł do wsi tak, jak biega tylko on, i przyprowadził pół Betlejem.

Joab przeczołgał się do Dawida. Złapał go zdrową ręką za tunikę.

— Słuchaj mnie — wysyczał. — Kiedy cię zapytają, kto zabił lwa, powiesz, że ty.

— Abiszaj go zabił. Ty…

— Abiszaj ma piętnaście lat i płacze jak dziewczyna. Ja jestem synem Serui, a wszyscy mówią, że synowie Serui to głupcy. Mnie nikt nie uwierzy. — Joab zakaszlał. — Ty rozbiłeś mu łeb kamieniem. Ty wbiłeś mu kij w gębę. Ty siedziałeś mu na grzbiecie. Kto zabił lwa?

— To będzie kłamstwo.

— To będzie pieśń. — Joab puścił go. — Pieśni nie są kłamstwem, wuju. Pieśni są tym, co ludzie muszą pamiętać. — Spojrzał na niego dziwnie. — A ty jesteś inny. Nie wiem, jak. Ale jesteś. Niech mówią o tobie.

Ludzie z Betlejem otoczyli ich kręgiem pochodni. Ktoś krzyczał. Ktoś się modlił. Ktoś stał z otwartymi ustami i patrzył na martwego lwa z pożyczonym oszczepem w piersi.

— Kto to zrobił? — zapytał stary Szallum, który przyszedł mimo nocy i mimo ślepoty, wsparty na ramieniu wnuka.

Dawid podniósł się na łokciu. Spojrzał na Abiszaja, który ocierał twarz rękawem. Na Joaba. Joab czekał, bębniąc palcami po rękojeści noża.

— Pan — powiedział Dawid. — Pan go wydał w nasze ręce.

W nasze. Nie w moje.

Ale ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć. Do rana całe Betlejem mówiło, że rudy syn Jessego zabił lwa. Gołymi rękami. Siedząc mu na grzbiecie. Do końca tygodnia mówiło o tym Tekoa. Kupcy zanieśli to do Hebronu.

O oszczepie Abiszaja nikt nie śpiewał.

Ojciec stał na progu, kiedy przynieśli Dawida do domu na noszach z płaszczy. Za nimi szli ludzie i nieśli lwią skórę.

Jesse popatrzył na skórę. Potem na syna. Długo, jakby liczył coś, co mu się nie zgadzało.

Potem odwrócił się bez słowa i wszedł do domu.

Tej nocy Dawid nie spał. Leżał na dachu z obandażowaną nogą i za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział żółte oko. Z odległości dłoni. Gasnące.

Następnej nocy też.

✦

Trzeciego dnia po lwie przyszli starsi z Tekoa.

Przynieśli bukłak wina, krąg sera i koźlę. Chcieli zobaczyć chłopca, który siedział lwu na grzbiecie. Jesse przyjął ich pod figowcem, jak się przyjmuje

gości. Na macie. Z chlebem, z oliwą, z solą.

Dawida znieśli z dachu dwaj bracia. Na płaszczu, bo noga wciąż nie chciała go nieść. Posadzili go tam, gdzie siadał zawsze. Na kamieniu przy wejściu do obórki.

Najstarszy z gości, siwy, z laską z drzewa oliwnego, spojrzał na kamień. Potem na Jessego.

— Tam go sadzasz? — zapytał. — Tego, co zabił lwa?

— Tam jest jego miejsce — powiedział Jesse.

Starzec z Tekoa otworzył usta. Spojrzał na gospodarza. Zamknął je. W cudzym domu nie pyta się o rzeczy, o które pyta się tylko przy bramie.

— Opowiedz, synu — poprosił drugi, młodszy, z twarzą spaloną słońcem. — Jak to było? Mówią, że chwyciłeś go za brodę.

Dawid otworzył usta.

— Zapytajcie Abiszaja.

To był Szamma. Siedział na macie, trzeci od ojca, z miską na kolanach, i uśmiechał się krzywo. Jak człowiek, który długo trzymał w zębach kamień i wreszcie może nim splunąć.

— Zapytajcie Abiszaja, syna Serui — powtórzył. — Czyj oszczep wyciągnęli lwu z piersi? Abinadaba, bo Abiszaj pożyczył go wieczorem. A kto go trzymał? Nie mój rudy brat. Mój rudy brat leżał pod lwem i wył.

Pod figowcem zrobiło się cicho. Goście spojrzeli po sobie.

Jesse nie podniósł głowy. Łamał chleb.

Dawid patrzył na Szammę. Mógłbym skłamać, pomyślał. Wszyscy tu chcą, żebym skłamał. Starsi z Tekoa chcą. Dziewczęta przy studni chcą. Pieśń chce.

— Szamma mówi prawdę — powiedział.

Szamma przestał się uśmiechać.

— Abiszaj zabił lwa — mówił Dawid. — Joab go zranił. Ja chybiłem pierwszym kamieniem, bo ręka mi się trzęsła. A potem leżałem pod nim. — Spojrzał na starca z Tekoa. — I wyłem. To też prawda.

Starzec wpatrywał się w niego długo. Potem się roześmiał. Głośno, ciepło, jakby usłyszał najlepszy żart od żniw.

— Słyszycie? — zawołał do swoich. — Skromny! Zabił lwa i oddaje go dzieciakowi! — Sięgnął po bukłak. — Tak mówią prawdziwi wojownicy, synu Jessego. Ja też byłem pod Jabesz, kiedy biliśmy Ammonitów. I też mówię, że to Saul ich pobił.

Śmiali się wszyscy. Goście. Bracia. Nawet Osem, który nie śmiał się nigdy, a teraz parsknął w kubek i musiał go odstawić.

Nie śmiał się Szamma. Nie śmiał się Eliab. Nie śmiał się ojciec.

Dawid siedział na swoim kamieniu i rozumiał coś, czego nie rozumiał jeszcze rano. Że prawda nie ma tu żadnej siły. Że kiedy ludzie chcą pieśni, to i prawdę przerobią na pieśń. Jeszcze piękniejszą.

Goście wyszli przed zmrokiem. Koźlę zostawili. Dla tego, co zabił lwa.

Szamma znalazł go w obórce, kiedy Dawid próbował wstać sam, wsparty o żłób. Szamma pachniał winem od Tekoitów.

— Myślisz, że jesteś mądry — powiedział.

— Nie, Szammo.

— Myślisz. Powiedziałeś prawdę i zrobili z niej jeszcze ładniejszą pieśń. Skromny! — Splunął w słomę. — Wiesz, ile lat chodzę za ojcem? Dwadzieścia dziewięć. Dwadzieścia dziewięć lat jestem trzecim synem. Nie pierworodnym, jak Eliab. Nie tym w straży króla, jak Elihu. Trzecim. Takim, którego imię ojciec myli z imieniem Abinadaba.

— Wiesz, co ja zabiłem w życiu? Nic. — Szamma podszedł bliżej. W ciemności jego chuda twarz wyglądała jak twarz chorego. — Pod Amalekiem stałem w tylnym szeregu i modliłem się, żeby nikt na mnie nie spojrzał.

Wszyscy w Betlejem to wiedzą. Śmieją się za plecami. A ty… — Głos mu zadrżał. — Ty też się boisz. Widziałem, jak ci się trzęsie ręka, kiedy kładziesz kamień do procy. Widziałem cię w nocy na dachu. Siedzisz i patrzysz w ciemność jak pies, który słyszy wilka. Jesteś taki sam jak ja.

— Jestem — powiedział Dawid.

— To czemu o tobie śpiewają?!

Krzyk odbił się od ścian obórki. Owce zaszurały w kącie. Koźlę od Tekoitów zabeczało.

— Czemu o tobie, bękarcie?

Słowo spadło między nich jak kamień do studni. Długo leciało. Dawid słyszał, jak uderza o dno.

Szamma zbladł. Ale nie cofnął go.

— Tak. Powiedziałem. — Oddychał szybko. — Ktoś w tym domu musi to kiedyś powiedzieć głośno.

— To powiedz ojcu — powiedział Dawid cicho. — Przy nim. Pod figowcem. Głośno.

Szamma stał. Usta mu drgały.

— Ojciec wie, co jest prawdą — powiedział. — Dlatego sadza cię przy gnoju.

Wyszedł.

Dawid stał przy żłobie, trzymając się drewna obiema rękami. Noga bolała. Ręka bolała. Ale nie to bolało najbardziej.

Koźlę od Tekoitów beczało w kącie. Dla tego, co zabił lwa.

W drzwiach domu, po drugiej stronie podwórza, ktoś stał w ciemności. Wysoki. Szeroki w barach. Słyszał wszystko.

Nic nie powiedział. Odwrócił się i wszedł do środka.

✦

Kilka dni później, dzień drogi na północ, w twierdzy na wzgórzu Gibea, król nie spał.

Jeszcze nie z tamtego powodu. Tamto miało przyjść później. Tej nocy Saul, syn Kisza, po prostu leżał na łożu w wieży i patrzył w belki stropu, i słyszał w głowie dźwięk rozdzieranego płaszcza. Od Gilgal słyszał go często. Tej nocy też.

Na dole, na dziedzińcu, ktoś się śmiał.

Saul wstał. Zszedł po schodach. Przy ognisku pod bramą siedziało kilku pasterzy królewskich stad, a pośród nich niski, krępy człowiek z twarzą jak młot, z kośćmi na sznurze na szyi. Doeg Edomita. Naczelny pasterz króla.

Zerwali się na nogi, kiedy go zobaczyli.

— Z czego się śmiejecie? — zapytał Saul.

— Z opowieści, panie. — Doeg skłonił się nisko. Za nisko. — Kupiec z Hebronu był dziś przy studni. Mówi, że w Betlejem na murze wisi skóra lwa. Prawdziwego. Z czarną grzywą. — Uśmiechnął się. — Zabił go pastuch. Chłopak. Nożem do strugania. Siedząc lwu na grzbiecie.

— Lwy nie chodzą w góry.

— Ten chodził, panie. Za trupami z Amaleka. — Doeg przekrzywił głowę. — Twoje trupy go nakarmiły.

Saul nic nie powiedział. Patrzył w ogień.

— Czyj to syn? — zapytał w końcu.

— Jessego z Betlejem. Najmłodszy. Rudy, mówią.

— Jessego. — Saul zmarszczył brwi. — Tego od Moabitki.

— Tego, panie. Jego trzej starsi byli z tobą pod Hawilą. Najstarszy to Eliab. Dobry wojownik. — Doeg zrobił pauzę. — A o najmłodszym w Betlejem szepczą, że nie jest synem swojego ojca.

— Jak mu na imię?

Doeg rozłożył ręce.

— Nie wiem, panie. Mówią na niego po prostu: rudy.

— Pastuch, który zabija lwy — powiedział Saul. — Mój ojciec był rolnikiem. Ja szukałem jego oślic, kiedy Samuel wylał na mnie olej. — Pokręcił głową. — Bajki dla kobiet przy studni.

Odwrócił się, żeby odejść. Zatrzymał się na schodach.

— Doegu.

— Panie?

— Samuel wciąż siedzi w Rama?

— Siedzi, panie. Nie wychodzi z domu. Płacze, mówią. Za tobą.

— Pilnuj go. — Saul nie odwrócił głowy. — Chcę wiedzieć, dokąd chodzi. Z kim się widzi. Komu wylewa olej.

Doeg skłonił się. Kiedy podniósł głowę, króla już nie było na schodach.

Pasterze przy ognisku wrócili do śmiechu. Doeg się nie śmiał.

Pastuch, który zabija lwy. Syn, który nie jest synem swojego ojca.

Doeg zapamiętywał takie rzeczy. Zawsze.

Tak jak pamiętał wszystko inne. Że w Gibea mówiono na niego „Edomita", jakby nie miał imienia. Że kapłani z Nob kazali mu czekać za progiem, choć znał Prawo lepiej niż oni. Że Bóg Izraela od początku świata wybierał młodszych: Abla, nie Kaina, Jakuba, nie Ezawa. Że Ezaw, jego praojciec, płakał głośno i gorzko, a ojciec nie miał już dla niego błogosławieństwa.

Prawo było inne. Prawo nie wybierało. Było jedno dla pierworodnego i dla najmłodszego, dla Izraelity i dla obcego, który przyjął je za swoje. Kto je znał, mógł nim sądzić nawet kapłanów. Doeg znał je lepiej niż ktokolwiek. I w domu Saula, gdzie liczył się porządek, ród i pierworodztwo, a nie to, na czyją głowę jakiś prorok wyleje oliwę, syn Ezawa doszedł do miejsca u stóp tronu.

Nie kochał Saula. Kochał to miejsce. I porządek, który mu je dał.

Każdy człowiek ma w sobie jakąś szczelinę. Doeg nie musiał nikogo bić. Wystarczyło znaleźć szczelinę i włożyć w nią słowo.